

A scenic view of a lake framed by trees, with a field of flowers in the foreground. The text is overlaid on the bottom portion of the image.

WIEŚ ILUSTROWANA

MAJ

1912



„J. SOSNOWSKI”

wł. C. LISOWSKI

WARSZAWA, Trębacka Nr 9. Telefonu Nr 47-47.

poleca wielki wybór DUBELTÓWEK — fabryk:

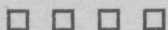
WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London; W. W. GREENER, London; G. DEFOURNY-SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Liège

SZTUCERY: J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA,
WINCHESTRA, FRANCOтта i innych.

Cenniki na żądanie.

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE KAROL MICHLER

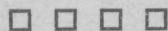
W WARSZAWIE, Wolska 40. Telefon 7-23



Polecają swoim odbiorcom i Sz. Publiczności powszechnie uznane za **NAJLEPSZE**

MAKARONY

po cenach bardzo przystępnych.



— KANTOR DLA OBSTALUNKÓW: —

ULICA WOLSKA 40. TELEF. 7-23.

Wszystkie obstalunki załatwiane są bezzwłocznie.

FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI Aleksander Feist

Warszawa

Fabryka i kantor, Wolska 12, tel. 60-86.
Magazyn, ul. Senatorska 24, tel. 33-39.

EGZYSTUJE PRZESZŁO 100 LAT.

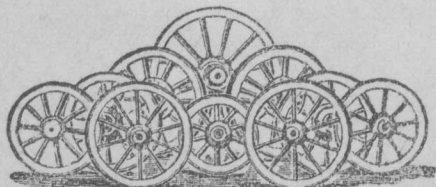
11 medali złotych i srebrnych wyłącznie
z wystaw państwowych.
DYPLOM ZASŁUGI.



G. G. Lardelli

CUKIERNIA
i Szwajcarska Fabryka Czekolady
ULICA POLNA Nr 20 — 22.

w WARSZAWIE FILJE: BODUENA 5, NDWY ŚWIAT 27, MARSZAŃKOWSKA 87. w ŁODZI: PIOTRKOWSKA 100.



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 r.
Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

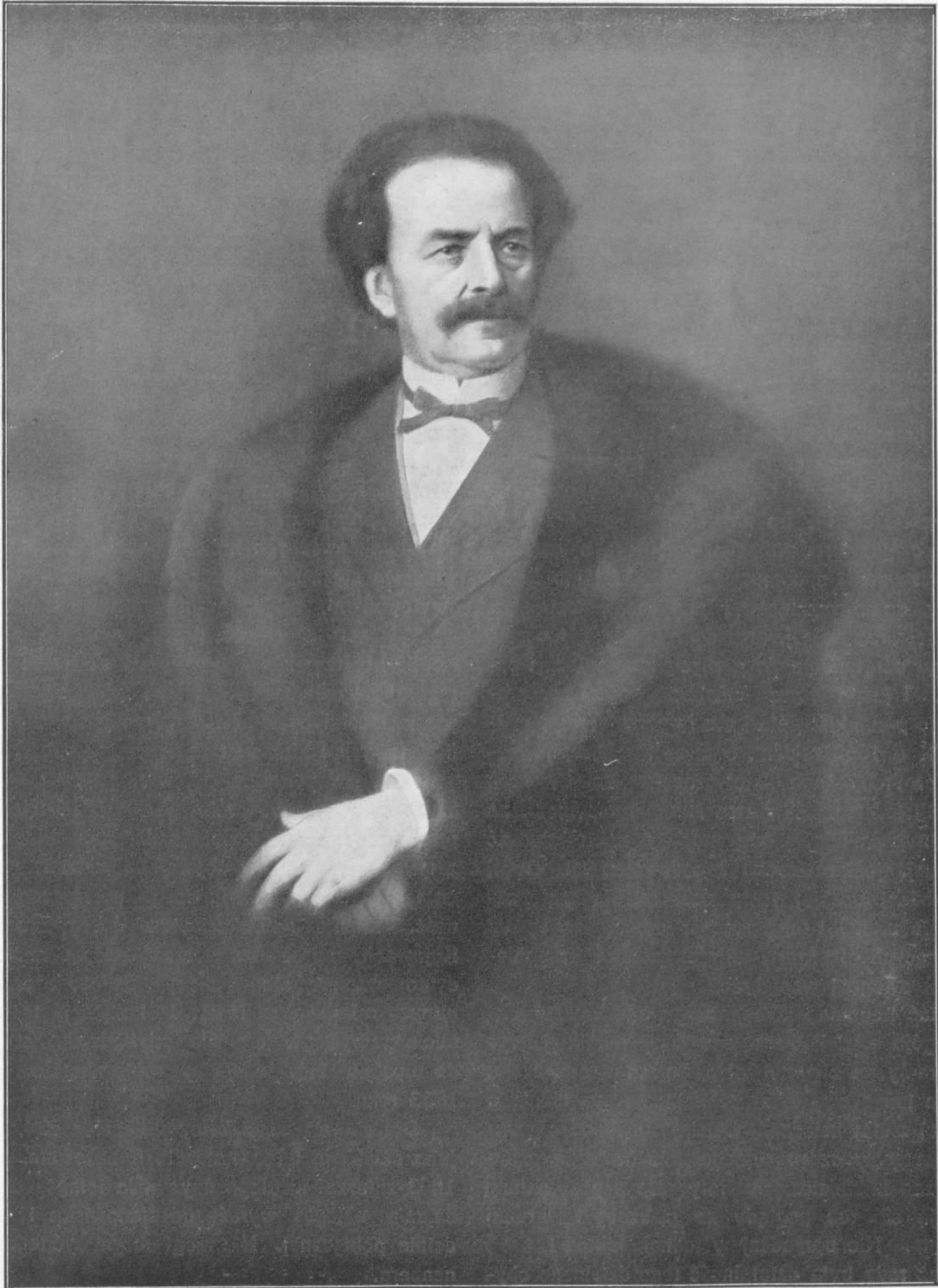
SPECJALNA FABRYKA KÓŁ I WOZÓW H. WAGNER i S-ka

WARSZAWA, ULICA ŁUCKA № 11, TELEFON № 62-99.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciągane na zimno na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne.

Cenniki na żądanie gratis i franko.

Wies' ilustrowana



Leopold Kronenberg.
(według portretu Horwitza z r. 1875).

DZIELNY OBYWATEL

(W SETNA ROCZNICĘ URODZIN LEÓPOLDA KRONENBERGA).

Nie może zginąć naród, dopóki z pnia jego wyrastają kwietne pędy w postaci geniuszów i bohaterów. Myśl pierwszych, krew drugich zapładnia i rodzi nowe, bujne życie, tworzy cudów cud—ustawiczny czyn, podsyca energję bytu.

Na tem jeno podłożu powstają dzielni obywatele kraju i we wszelkich warunkach, pośród każdych systemów ekonomicznych, są pożyteczni pośrednio dla ogółu, odnosząc jednocześnie bezpośrednio korzyści osobiste. Całą sztuką tych dzielnych obywateli jest umiejętność przystosowywania się do istniejących warunków i wprzęgnięcie ich niejako w koło swej pracy. Ludzie ci nie są bynajmniej twórcami, myśl ich nie wzbija się ku orlim lotom — są to raczej mrówki, czy pszczoły-robotnice, ale tym mrówkom i pszczołom społeczeństwo zawdzięcza zawsze bardzo wiele, zawdzięcza przede wszystkim to, że myśl twórcza nie przepada marnie, krzewi się i rozwija.

Do takich ludzi czynu, energii i pracy niespożytej należał Leopold Kronenberg, a wspominamy o nim w tej chwili, bo na rok bieżący przypada setna rocznica urodzin tego dzielnego obywatela, najgorętszą zaś i najintensywniejszą działalność rozwijał w dobie nadzwyczaj podobnej, siostrzankopokrewnej erze naszej, erze depresji myśli i czynu, smutnego odrętwienia po górnych marzeniach i porywach. I jedna jeszcze ciśnie się pod pióro paralela: Oto przed kilkudziesięciu laty, w okresie między 1831 a 1863 rokiem, oraz w latach, które nastąpiły po tych datach historycznych padali i w mrok zachodzili ludzie, jeśli po za zimnym rozumem, po za sprytną kalkulacją nie mogli w sobie znaleźć nic więcej, jeśli zniczowi narodowemu nie mogli nieść w dani boskiej iskry uczucia. W mgłę zapomnienia utonęli i toną obecnie ludzie, pozbawieni serc gorących dla kraju, miłości wielkiej dla społeczeństwa swego i współbraci.

Postać Leopolda Kronenberga budzimy w pamięci ogółu z wiekowego snu ciszy mogilnej, wyprowadzamy go z grobowej pleśni znowu do życia, bo życie jemu współczesne, zapisało go chlubnie w swojej złotej księdze. Dzisiaj może od obywatela wymagamy czegoś innego, niż dawał Kronenberg przed kilkudziesięciu laty, ale z pokoleniami zmieniają się też poglądy na potrzeby i warunki bytowania. Nie uprzedzajmy jednak faktów!

Jakąż tedy była działalność tego dzielnego obywatela?

W r. 1831 będąc zmuszonym opuścić liceum

warszawskie, udał się do Hamburga na studia handlowe i bankowe. Pozyskawszy gruntownie fachowe wykształcenie, powrócił do Warszawy i założył dom bankowy, a w r. 1839 objął administrację dochodów tabaczknych Królestwa Polskiego. Obydwa te przedsiębiorstwa Kronenberg prowadził znakomicie, więc przynosiły bardzo pomyślne dla niego rezultaty finansowe, zatrudniając jednocześnie stosunkowo sporo sił krajowych, pozbawianych coraz bardziej środków zarobkowania pracą, a tem samem silniejszego gruntu pod nogami.

Szczególnie poważnie rozwinął się dom bankowy, wobec olbrzymiego kredytu, jakim jego właściciel cieszył się u zagranicznej finansjery.

Rychło Kronenberg rozszerzył szranki swojej działalności, bo stosunki ekonomiczne, polityka ekonomiczna ułożyła się tak, że mógł z niej korzystać tak rozumny człowiek, a zarazem dobrem kraju przejęty obywatel. Był to rok 1850, t. j. chwila zniesienia granicy celnej między Królestwem Polskiem a Rosją, oraz okres budowy dróg żelaznych. Kronenbergowi zawdzięcza przemysł ówczesny kraju mnóstwo poważnych kroków naprzód. On to porozumiewa się z rozmaitymi ludźmi zamożnymi i ustosunkowanymi, a jednocześnie ożywionymi dobrą wolą i wciąga ich do pracy, w latach zaś 1857 i 1858 podtrzymuje dom bankowy samodzielnie szeregi krajowych przedsiębiorstw, które bez tego poparcia musiałyby upaść, wyrządzając w stosunkach finansowych i ekonomicznych kraju dużą szkodę.

Polska w pierwszej połowie, a nawet w pierwszych dziesiątkach drugiej połowy XIX wieku była przede wszystkim krajem rolniczym. Liczył się z tym faktem dzielny obywatel i widzimy go także na tej placówce rozwijającego energiczną działalność. Kupuje on mianowicie dobra Brzezie na Kujawach, zaprowadza wzorowe gospodarstwo i kredytem wspiera Domy Zleceń, założone przez wybitnych rolników. Niestety! Instytucje te, znakomicie pomyślane, ale źle prowadzone, chyły się do upadku i popadają w ruinę skutkiem przejść 1863 roku.

Dotychczas widzieliśmy Leopolda Kronenberga jako działacza tylko na polu finansowem, ale rok 1863 zmuszał każdego obywatela i męża czynu do zajęcia jakiegoś wyraźnego stanowiska i w dziedzinie politycznej. Nie mógł obcym być temu i Kronenberg.

Jak wiadomo wyłoniły się wówczas na widownię dwa stronnictwa główne — Czerwonych i Białych.

Pierwsze z nich, złożone z młodzieży i żywiołów gorętszych nie mogło pociągnąć ku sobie człowieka umiającego sięgać wzrokiem po za płomień zapalu — margrabia Wielopolski stał na odosobnionem stanowisku, wówczas jak olbrzymi tajemniczy Sfinks.

Kronenberg, przedewszystkiem człowiek praktyczny i dopatrujący się odrodzenia społeczeństwa naszego tylko w pracy organicznej, tylko w podniesieniu ekonomicznego stanu, wszedł pomiędzy Białych, a z margr. Wielopolskim łączyły go osobiste dobre stosunki. Wypadki r. 1863 wyrzuciły go z kraju. Za granicą oceniono talent finansowy naszego obywatela i liczni przyjaciele namawiali go, by się ekspatrował i nie wracał więcej do Królestwa, ale on zbyt kochał ten kraj, kędy dziecięce i młodzieńcze spędzał lata, którego tajemna mowa nauczyła być człowiekiem, zanadto tęsknił za temi smutnymi ugorami i rżyskami, za szemrzącymi cicho po miedzach gruszami starami, za brzożami płaczącymi, za wierzbami, co grają w pastuszych piszczałkach melodie rzewne, zanadto kochał i tęsknił, zamało przywiązywał znaczenia do pieniędzy, by namowom przyjaciół dać posłuch. Pragnął skorzystać z pierwszej sposobności, by wrócić, a nie wracał jedynie wbrew swojej woli.

Sposobność do powrotu miała się nastęrczyć niebawem. Kiedy rząd petersburski zaprojektował budowę kolei Warszawsko-Terespolskiej, celem po-

łączenia Warszawy z fortecą w Brześciu, Kronenberg ofiarował się przeprowadzić budowę tej kolei, a korzystając z posiadanych już rozległych stosunków, zdołał przekonać sfery miarodajne, że tę budowę on najlepiej wykonać potrafi. Dzięki temu mógł powrócić do kraju i rozpocząć teraz dopiero najowocniejszą działalność.

Do tych prawdziwie obywatelskich czynów należy przedewszystkiem budowa w r. 1864 kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, zakup znacznej ilości jej akcji, wyrwanie tedy jednego z największych przedsiębiorstw Niemcom, oddanie zarządu w ręce polskie, zatrudnienie olbrzymiej ilości młodzieży polskiej, którą rugowano z zajęć, pozabawiając sposobu do życia. Wszystko to są pierwszorzędne zasługi dla kraju, domagające się właściwej oceny z odległości lat, co ułatwia właśnie tę ocenę i oddanie sprawiedliwości bez żadnych pobocznych względów i względików, wchodzących zwykle w grę, gdy mamy do czynienia z ludźmi żyjącymi i działającymi.

Po wybudowaniu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej przeprowadził Leopold Kronenberg w r. 1872 budowę kolei Nadwiślańskiej.

Dzięki inicjatywie i żelaznej pracy tego człowieka, powstaje cały szereg nader poważnych instytucji, zawdzięczających jego finansowemu poparciu i energii czynu swój byt. I tak dla rozwijania przemysłu krajowego zakłada bank handlowy, a zaini-



Leopold Kronenberg (wedł. fot. z r. 1861).

cjowanemu przez księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego Towarzystwu Kredytowemu m. Warszawy i w kierunku organizacyjnym i w kierunku finansowym. Z kolei przy współdziałaniu Konstantego Górskiego, stwarza Kronenberg bardzo poważną i pożyteczną nietylko w Królestwie Polskim, ale i poza jego granicami instytucję, a mianowicie Warszawskie Tow. Ubezpieczeń od ognia, oraz bierze udział w stworzeniu Warszawskiego Tow. Kopalni węgla, zakładów hutniczych, Warszawskiego Tow. cukrowni i wielu innych, służących do podniesienia dobrobytu kraju.

Nietylko pole ekonomiczno-finansowe znalazło w Kronenbergu poważnego działacza, bo odczuwa on potrzebę oświaty wogóle, popiera hojnie kształcąca się młodzież, a pragnąc podnieść kulturę i wykształcenie zawodowe kupiectwa polskiego, zakłada przed dwudziestu kilku laty szkołę handlową, która zapisała się chlubnie, tak pod względem obywatelskim, jak oświatowym w pamięci Warszawy.

Mówiąc o działalności Kronenberga na polu oświatowym, trudno nie wymienić jednego z najważniejszych jego dzieł, a mianowicie założenia i stworzenia wielkiego dziennika, wychodzącego najpierw pod nazwą „Gazety Codziennej“, następnie zaś „Gazety Polskiej“. Myśl powołania do życia organu tego powziął Leopold Kronenberg w r. 1859 i do pracy, oraz kierownictwa zaprosił najwybitniejszego wówczas literata polskiego J. I. Kraszewskiego, którego w tym celu sprowadził z Żytomierza.

Kraszewski, daleki od skłonności do wszelakich hołdów niezastużonych, lecz mając sposobność przy wspólnej pracy społecznej poznać Kronenberga, wypowiedział o nim takie zdanie:

„Człowiek czynu u nas jest rzadszym, niż gdzie indziej. Na ludziach myśli i słowa nie zbywa nam; ale myśli i słowa rozwiewają się bezsilnie, bo nam zbywa na charakterach i woli. Tu myśl była w harmonii z działalnością i dlatego obfite wydała owoce“.

Dla całokształtu charakterystyki dzielnego obywatela powołujemy się na dłuższy fragment życiorysu jego, życiorysu dla „Ateneum“, skreślonego w r. 1878 przez tegoż J. I. Kraszewskiego, gdy śmierć Kronenberga nastąpiła w dniu 5 kwietnia tegoż roku.

„Staliśmy wówczas na jakimś stanowisku bez podstawy — pisze Kraszewski, bez związku z otaczającym nas światem, stanowisku idealnym, w upojeniu, w marzeniach, a ostatecznie z założonemi, albo raczej załamanemi rękami. W samym łonie społeczeństwa składowe jego pierwiastki wirowały bez związku z sobą w walce próżnej, bez znaczenia w chwili obecnej, zrodzone w innych warunkach.“

„Kronenberga myślą główną było przejednać wszystkich i połączyć do jednej wspólnej pracy około

dobra ogólnego. Leżały pola odłogiem, ludzie próżnowali; tonęliśmy w marzeniach, nie mogących się ziścić, gdy tymczasem żywna rola pustoszała, a przedłużone owo próżnowanie ekstatyczne groziło niechybną ruiną. Szanując to, co w przeszłości pożałowania było godne, nie dopuszczając żadnego głównego radykalizmu, Kronenberg chciał wytrzeźwienia się narodu i zaprzężenia go do pracy. To był jedyny cel pisma jego.“

„W wielu razach myśl tę objawiał nam jasno i dobitnie, domagając się nadania gazecie kierunku praktycznego, pobudzającego do trudu na wszystkich otwartych nam drogach“.

„Całe życie Kronenberga było pasmem walk nieustannych; można go nazwać żołnierzem postępu, rycerzem pracy... widzieliśmy go w najtrudniejszych, rozpaczliwych niemal okolicznościach, nie tracącego ani ducha, ani ochoty do dalszej pracy. Gdy jedna droga okazała się straconą, nie zrażało go to do natychmiastowego szukania drogi drugiej“...

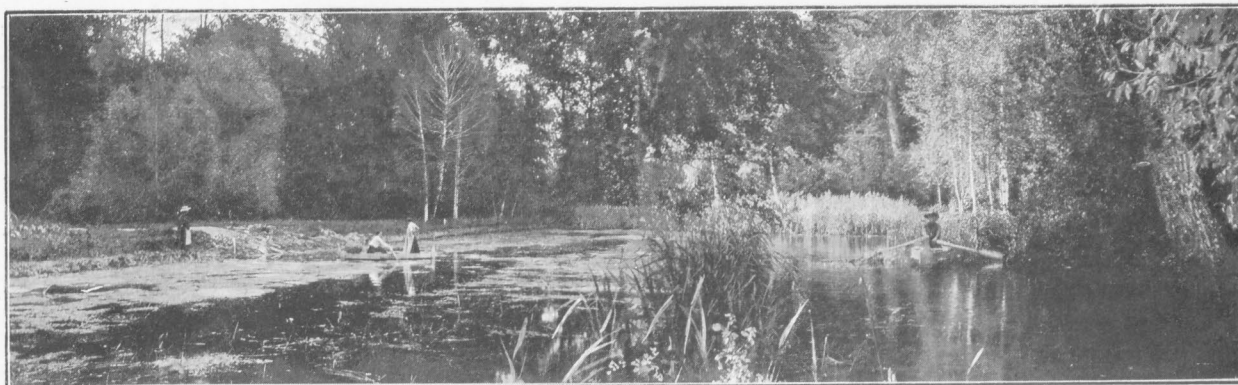
„Nie zrażało go ani niepowodzenie ze zbiegu okoliczności wynikłe, ani zawód, doznany od ludzi; niezachwiany szedł dalej. Dlatego widzimy go dokonywającego prac olbrzymich, często zarazem kilku, przenoszącego się z miejsca na miejsce bez znużenia, zmieniającego place boju, narzędzie, środki, zawsze panem sytuacji i zwycięzcą. W stosunkach z ludźmi znany z nieposzlakowanej rzetelności, miał też u nich wiarę nieograniczoną. Kredyt bezbrzeżny, środki do działania potężne“.

Skreśliwszy szkicowo wspomnienie dzielnego obywatela i człowieka czynu, zaznaczyć musimy, że należy on do rzadkich ludzi, których trudne warunki pracy w naszym kraju nie zbakierowały i nie sprowadziły z wytkniętego prostolinijnego kierunku działania.

Kronenberg jest zwycięzcą!

Ten i ów może nie zgadzać się z jego zbyt trzeźwym poglądem na potrzeby i dążenia społeczne, ten i ów obniżyć może wartość jego zasług, nie zgadzając się z ich przestankami ideowemi, nikt jednak odmówić mu nie może czystości intencji i prawości charakteru przy tak cennej zalecie jak żelazna wola, dokonująca cudów prawdziwych.

Człowiek żelaznej woli śmiał się zawsze z pesymistów, którzy zrażali go do czynu, wskazując na piętrzące się wśród drogi olbrzymie trudności. Umiał je wszystkie pokonać, to też doszedł do olbrzymiego osobistego majątku i dostarczył krajowi mnóstwo instytucji o doniosłym znaczeniu, bez których rozwój przemysłu napotykałby na isticie nieprzezwyciężone zapory. Porównać z nim można Szczepanowskiego, ten jednak był mniej szczęśliwym i mimo olbrzymiego zasobu dobrej woli padł zwyciężony na polu pracy.



Czudnica na Wołyniu, własność p. Laymanów. Fragment z parku — sadzawka (fot. amat. Szubiakowski).

MAJ IDZIE...

Maj idzie...

Sad wiejski... Aleja... Dwa rzędy drzew owocowych,
niby białe i różowe bukiety ślubne...

Ścieżką idzie młodzieniec z dziewczyną...

Ręce się splotły, błękitne oczy utonęły w czarnych —
a na dwie młode, rozkochane głowy sypie się, kwiecie,
białe i różowe...

Młodość i wiosna — wiosna i miłość...

Cisza głęboka, uroczysta...

Zda się tylko, że lekko drży ziemia, runią zieloną, jak
oblubienica przybrana, pod płomiennymi pocałunkami
słońca, — kochanka...

I w tej ciszy głębokiej, uroczystej, niby dwa płatki róż
o świcie, zefirem trącone, usta młode i spragnione
łączą się ze sobą tęsknotnie...

Pierwszy pocałunek...

I w tej ciszy głębokiej, uroczystej, ni-
by rosa poranna na płatkach róż,
dwie pary młodych oczu zroszone...

Pierwsze łzy szczęścia...

I pierwszy cichy szept...

Miesiąc miłości...

Maj idzie...

Miasto... Izdebka poety... Noc...

Przez otwarte okno zagląda ciekawa
twarz księżycy, wiernego przyjaciela
poetów i kochanków; złotemi gir-
landami zwieszają się gwiazdy, sio-
stry samotności...

Z dalekiego ogrodu płyną rozmarza-
jące i upajające wonie bzów i jaś-
minów, srebrzystą kaskadą dźwię-
ków rozlega się pieśń słowika;
a z dalekich łąk dochodzą tęskne
głosy ligawek pastuszych...

Przy biurku siedzi młody poeta...

Zapatrzył się i zamyślił...

Głowa mu płonie, serce rozsadza bło-
gość nieznana...

Chwila łaski — natchnienia...

Gorączkowo, drżącą ręką, po-
czyną kreślić coś na papierze...

Pierwszy dreszcz twórczy...

Pierwszy wiersz — do niej...

Miesiąc poezji...

Maj idzie...

Wiejski kościółek... Figura Marji, tonąca w kwieciu i zieleni...

Goreją świece, a jeszcze jaśniej goreją serca...

Gromada chłopska, barwna, niby łąka kwietna...

Twarze rasowe, Piastowskie; twarze surowe i poorane,
lecz cudem wiary przejaśnione...

Ręce, czarne od pracy, do modlitwy złożone i podniesione
wysoko czoła, zazwyczaj nisko pochylone...

I błaganie w oczach, a zaciętość w ustach...

Bogaty siew przyszłości...

Bije pod ciemny strop kościoła pieśń-prośba, pieśń-skar-
ga, pieśń-ucieczka:

Pod Twoją obronę...



— Dzień dobry!..

I jeszcze te wioski dalekie i smutne, gdzie niema kościo-
łów, gdzie jeno pod przydrożnym krzyżem lub figurą
skupia się wierna garstka i gdzie pod ciemny strop
nieba bije pieśń-prośba, pieśń-skar-ga, pieśń-ucieczka:

Pod Twoją obronę...



— Czy przyjdzie?...

I wreszcie te wioski najdalsze i najsmutniejsze, gdzie
nie ma nawet krzyżów i figur przydrożnych i gdzie
tylko w dworskiej komnacie, na kaplicę Marji zamie-
nionej, skupia się wierna czeladź i gdzie pod ciemny
strop pokoju bije pieśń-prośba, pieśń-skarga, pieśń-
ucieczka:

Pod Twoją obronę...

Miesiąc Marji...

Maj idzie...

Stary dworek modrzewiowy...

Inne czasy, ci sami ludzie, te same serca...

W komnacie półmrok...

Zachodzące słońce rzuca krwawe błyski na stare, zczerniałe portrety i stare, zczerniałe zbroje i stare, zczerniałe mundury; na brązowe popiersie Cesarza...

Na staroświeckim szpincie drżącemi palcami gra babunia...

Płynie melodia uroczysta, przejmująca, znana, a taka daleka, dziwnie za serce chwytająca...

Polonez 3-go Maja...

Przy oknie, na starym fotelu, siedzi dziadek, siwy jak gołąb...

Postać zgarbioną, zgrzybiatą, lecz z wąsa i twarzy marsowej zgadniesz odrazu: szwoleżer Napoleoński...

Jedną ręką porusza machinalnie w takt melodji, a drugą gładzi płową główkę wnuka, klęczącego mu u stóp...

W zgasłych oczach łyzy...

A w starczych, bezzębnych ustach cichy szept — oderwane wyrazy...

1791... Trzeci Maj... Konstytucja... Staszic... Kółtaj... Małachowski...

Pamiętaj, wnuku...

A w mądrych oczach dziecka zapał, moc i skupienie przedwczesne; a w czarnoziemną glebę duszy wnuka, by ziarna złote, padają słowa dziada i kielkują plonem przyszłości...

Miesiąc wielkich wspomnień...

Pochylmy ze czią i w zadumie głowy i... pamiętajmy!

JÓZEF RELIDZYŃSKI.



Park w Zonicy gub. Wołyńska (fot. amat. T. N. Podhorodeńskiego).

NOC TAKA CICHA...

Pocałunek mi, wiosno, złożyłaś na skronie,
Moja dusza twą młodą nadzieją odrycha,
Bieleją rozkwitnięte po sadach jabłonie,
Noc taka cicha...

Marzy świat... przechodzące tęsknice wciąż roją
Od miesiąca srebrzoną miłości balladę,
Chylą się z cichą pieśnią ponad dolą moją.
Jak duchy blade...

A ja słucham i ręce wyciągam w bezmiary,
I biorę owe szepty, uśmiechy i grania
I czekam, aż się wciela modrej nocy czary
W piękno kochania.

Aż się wciela?... o duszo wiecznie szczęścia głodna,
O serce, które pragniesz pić z życia kielicha,
Wiercie w Baśń, nim was Prawda nie wyśmieje
chłodna...

Noc taka cicha...

ZOFIA ULASZYŃSKA,



JEST SIŁA...

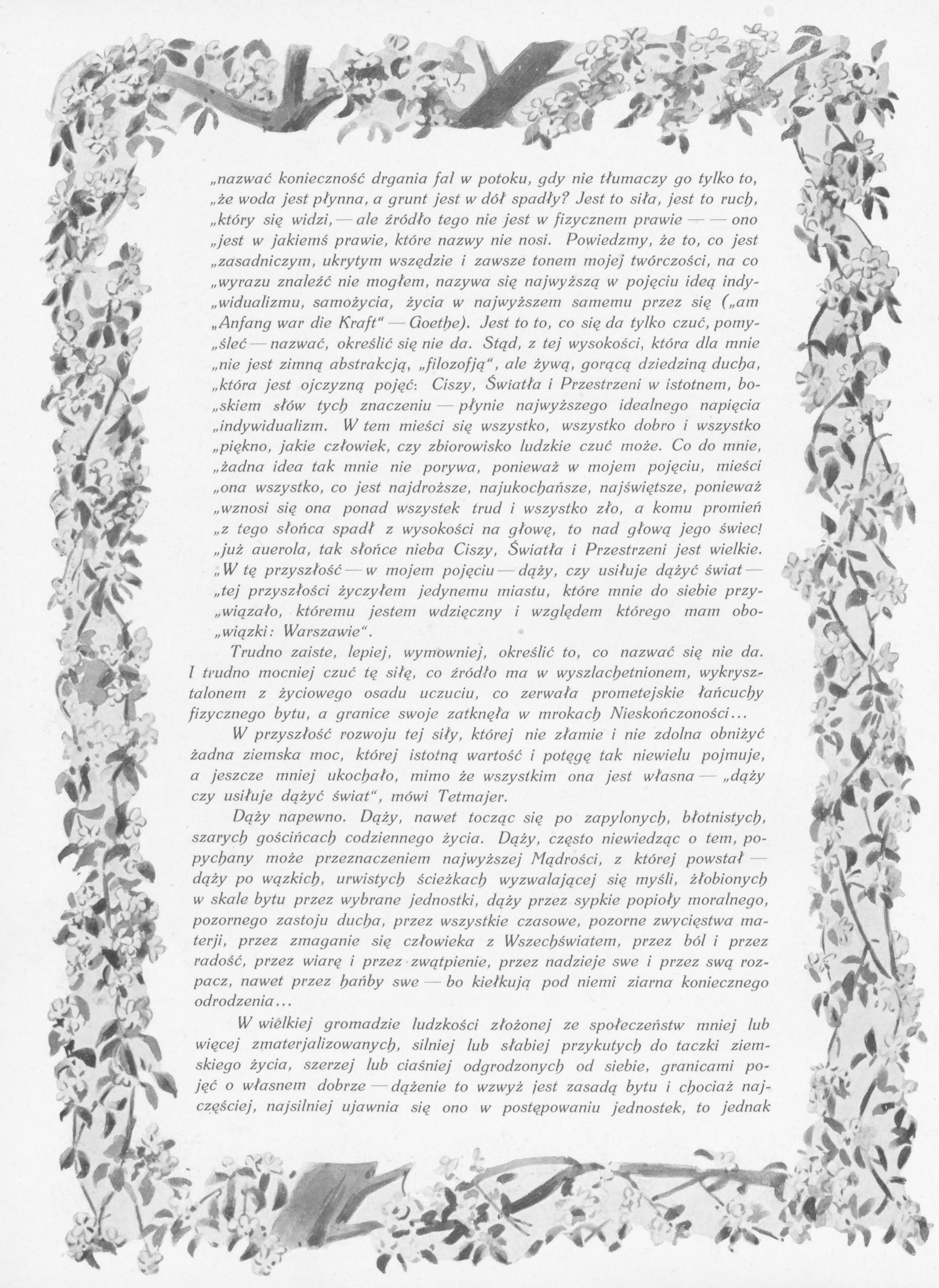
Jest w duszy ludzkiej struna niezależna zupełnie od charakteru jednostek i od życiowych warunków. Struna samoistna o szlachetnym dźwięku, co raz trącona, raz jeden chociaż tym dźwiękiem ozwawszy się, zdolna się już staje do własnego i samodzielnego życia. Jest ona tak niezależną od spraw i warunków materialnych, może się tak dalece wyzwoić nawet z tej sfery myśli, która w życiu materialnym początek i przyczynę bierze, że niema dla niej w potocznym języku utartej nazwy, chociaż jest ona najwyższym prawem i dobrem wszystkich. Siła jej jest tak wielka, że w każdej piersi ludzkiej innem ona żyje życiem, inne i coraz nowe stwarza objawy, mieniając się miliony razy nową kombinacją barw i kształtów, coraz to innym wyrazem indywidualnej, duchowej mocy człowieka.

Nie mamy na nią ogólnego terminu. Możemy jednak wyczuć ją duszą i umysłem określić przynajmniej kategorię jej dążeń. Popycha ona nas wzwyż — do życia wyodrębnionego z łańcucha codziennych zdarzeń, daje nam zdolność stwarzania potężnych myśli, co jak orle skrzydła unoszą duszę ludzką w świat zupełnej wolności ducha. Dzięki tej sile, każdy człowiek może sobie stworzyć własną sferę duchową i zamknąć w niej duszę swoją dla życiowego zła, otwierając ją dla wszystkiego co szlachetne, wzniosłe i piękne. Wyjście w tę sferę tworzy czasem z ludzi mocarzy. Za jej progiem w duszy i umyśle ludzkim zapala się czasem światło geniuszu, płomień przeogromnej miłości, jakaś wielka, jasna, nad życiem stojąca mądrość.

Oto świeżo jeden z największych naszych żyjących poetów, Kazimierz Tetmajer, którego dwudziestopięcioletnie gody z poezją, z pięknem, z wielką i dostojną służbą dla polskiego narodowego ducha i polskiego kraju obchodziła uroczystość Warszawa, dał istnieniu tej siły świadectwo wymowne w przepięknym, a prostym swym liście otwartym do „Kurjera Warszawskiego“ *).

„W toastach wznoszonych — pisze poeta — omówiono całą moją twórczość, wszystkie jej strony, wszystkie jej przejawy. Podniesiono wszystkie jej zasadnicze pierwiastki: mój kult greckiego piękna w miłości, moją miłość natury, miłość kraju, miłość społecznych pojęć i miłość swobody. Wskazano to, co każdy człowiek wogóle, każdy poeta już dlatego, że jest poetą a polski poeta już dlatego, że jest Polakiem, kocha. I wspomniano, ale nie nazwano przecież po imieniu tego zasadniczego, ukrytego tonu, który jest rdzeniem całej mojej twórczości. I ja go nie nazwałem, doznając w końcowym ustępie mego przemówienia tego uczucia, gdy słowo się kończy. Jest to już ten stan, kiedy traci się słowa, a to, co się myśli, przelatuje przez głowę chyba w kształcie obłoków. Nie umiałem tego nazwać wówczas, nie chciałem trafić w wyraz niewłaściwy, nie znajduję także teraz wyrazu właściwego temu, co myślę — tego wyrazu jeszcze niema. Jakże

*) „Kurjer Warszawski“ z d. 29 marca r. b. wyd. wieczorne: „List Tetmajera“.



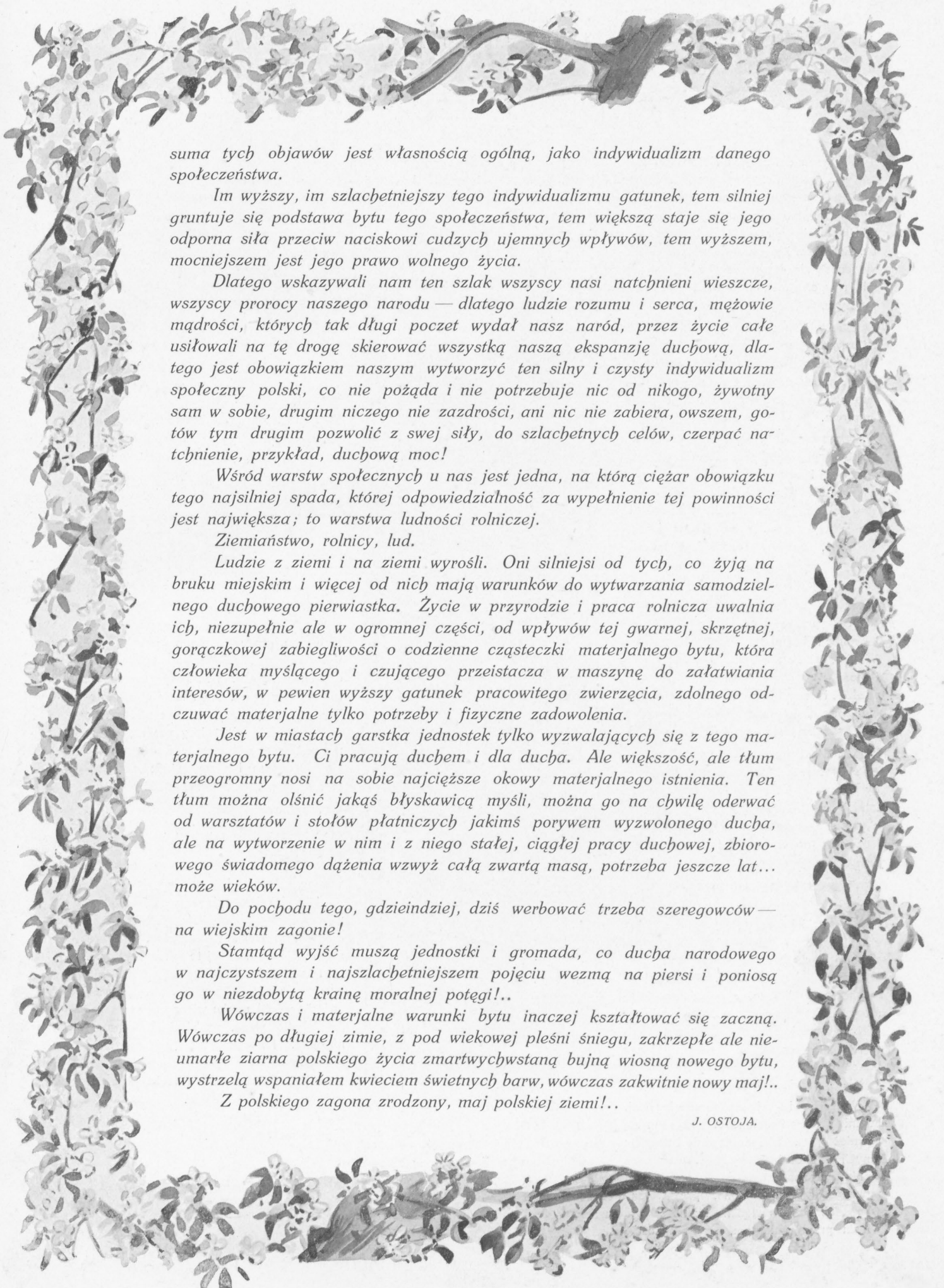
„nazwać konieczność drgania fal w potoku, gdy nie tłumaczy go tylko to, „że woda jest płynna, a grunt jest w dół spadły? Jest to siła, jest to ruch, „który się widzi, — ale źródło tego nie jest w fizycznym prawie — — ono „jest w jakimś prawie, które nazwy nie nosi. Powiedzmy, że to, co jest „zasadniczym, ukrytym wszędzie i zawsze tonem mojej twórczości, na co „wyrazu znaleźć nie mogłem, nazywa się najwyższą w pojęciu ideą indywidualizmu, samożycia, życia w najwyższym samemu przez się („am „Anfang war die Kraft“ — Goethe). Jest to to, co się da tylko czuć, pomyśleć — nazwać, określić się nie da. Stąd, z tej wysokości, która dla mnie „nie jest zimną abstrakcją, „filozofją“, ale żywą, gorącą dziedziną ducha, „która jest ojczyzną pojęć: Ciszy, Światła i Przestrzeni w istotnym, boskim słów tych znaczeniu — płynie najwyższego idealnego napięcia „indywidualizm. W tem mieści się wszystko, wszystko dobro i wszystko „piękno, jakie człowiek, czy zbiorowisko ludzkie czuć może. Co do mnie, „żadna idea tak mnie nie porywa, ponieważ w mojem pojęciu, mieści „ona wszystko, co jest najdroższe, najukochańsze, najświętsze, ponieważ „wznosi się ona ponad wszystkie trud i wszystko zło, a komu promień „z tego słońca spadł z wysokości na głowę, to nad głową jego świeci! „już auerola, tak słońce nieba Ciszy, Światła i Przestrzeni jest wielkie. „W tę przyszłość — w mojem pojęciu — dąży, czy usiłuje dążyć świat — „tej przyszłości życzyłem jednemu miastu, które mnie do siebie przywizało, któremu jestem wdzięczny i względem którego mam obowiązki: Warszawie“.

Trudno zaiste, lepiej, wymowniej, określić to, co nazwać się nie da. I trudno mocniej czuć tę siłę, co źródło ma w wyszlachetnionem, wykryształonem z życiowego osadu uczuciu, co zerwała prometejskie łańcuchy fizycznego bytu, a granice swoje zatknęła w mrokach Nieskończoności...

W przyszłość rozwoju tej siły, której nie złamie i nie zdolna obniżyć żadna ziemską moc, której istotną wartość i potęgę tak niewielu pojmuje, a jeszcze mniej ukochało, mimo że wszystkim ona jest własna — „dąży czy usiłuje dążyć świat“, mówi Tetmajer.

Dąży napewno. Dąży, nawet tocząc się po zapyłonych, błotnistych, szarych gościńcach codziennego życia. Dąży, często niewiedząc o tem, popychany może przeznaczeniem najwyższej Mądrości, z której powstał — dąży po wązkich, urwistych ścieżkach wyzwalającej się myśli, żłobionych w skałę bytu przez wybrane jednostki, dąży przez sypkie popioły moralnego, pozornego zastojów ducha, przez wszystkie czasowe, pozorne zwycięstwa materji, przez zmaganie się człowieka z Wszechświatem, przez ból i przez radość, przez wiarę i przez zwątpienie, przez nadzieje swe i przez swą rozpacz, nawet przez hańby swe — bo kiełkują pod nimi ziarna koniecznego odrodzenia...

W wielkiej gromadzie ludzkości złożonej ze społeczeństw mniej lub więcej zmaterjalizowanych, silniej lub słabiej przykutych do taczki ziemskiego życia, szerzej lub ciaśniej odgradzonych od siebie, granicami pojęć o własnem dobrze — dążenie to wzwyż jest zasadą bytu i chociaż najczęściej, najsilniej ujawnia się ono w postępowaniu jednostek, to jednak



suma tych objawów jest własnością ogólną, jako indywidualizm danego społeczeństwa.

Im wyższy, im szlachetniejszy tego indywidualizmu gatunek, tem silniej gruntuje się podstawa bytu tego społeczeństwa, tem większą staje się jego odporna siła przeciw naciskowi cudzych ujemnych wpływów, tem wyższem, mocniejszym jest jego prawo wolnego życia.

Dlatego wskazywali nam ten szlak wszyscy nasi natchnieni wieszczę, wszyscy prorocy naszego narodu — dlatego ludzie rozumu i serca, mężowie mądrości, których tak długi poczet wydał nasz naród, przez życie całe usiłowali na tę drogę skierować wszystką naszą ekspansję duchową, dlatego jest obowiązkiem naszym wytworzyć ten silny i czysty indywidualizm społeczny polski, co nie pożąda i nie potrzebuje nic od nikogo, żywotny sam w sobie, drugim niczego nie zazdrości, ani nic nie zabiera, owszem, gotów tym drugim pozwolić z swej siły, do szlachetnych celów, czerpać natchnienie, przykład, duchową moc!

Wśród warstw społecznych u nas jest jedna, na którą ciężar obowiązku tego najsilniej spada, której odpowiedzialność za wypełnienie tej powinności jest największa; to warstwa ludności rolniczej.

Ziemiaństwo, rolnicy, lud.

Ludzie z ziemi i na ziemi wyrosli. Oni silniejsi od tych, co żyją na bruku miejskim i więcej od nich mają warunków do wytwarzania samodzielnego duchowego pierwiastka. Życie w przyrodzie i praca rolnicza uwalnia ich, niezupełnie ale w ogromnej części, od wpływów tej gwarnej, skrętej, gorączkowej zabiegliwości o codzienne cząsteczki materialnego bytu, która człowieka myślącego i czującego przeistacza w maszynę do załatwiania interesów, w pewien wyższy gatunek pracowitego zwierzęcia, zdolnego odczuwać materialne tylko potrzeby i fizyczne zadowolenia.

Jest w miastach garstka jednostek tylko wyzwających się z tego materialnego bytu. Ci pracują duchem i dla ducha. Ale większość, ale tłum przeogromny nosi na sobie najcięższe okowy materialnego istnienia. Ten tłum można olśnić jakąś błyskawicą myśli, można go na chwilę oderwać od warsztatów i stołów płatniczych jakimś porywem wyzwolonego ducha, ale na wytworzenie w nim i z niego stałej, ciągłej pracy duchowej, zbiorowego świadomego dążenia wzwyż całą zwartą masą, potrzeba jeszcze lat... może wieków.

Do pochodu tego, gdzieindziej, dziś werbować trzeba szeregowców — na wiejskim zagonie!

Stamtąd wyjść muszą jednostki i gromada, co ducha narodowego w najczystszej i najszlachetniejszej postaci wezmą na piersi i poniosą go w niezdobytą krainę moralnej potęgi!..

Wówczas i materialne warunki bytu inaczej kształtować się zaczną. Wówczas po długiej zimie, z pod wiekowej pleśni śniegu, zakrzepłe ale nieumarłe ziarna polskiego życia zmartwychwstaną bujną wiosną nowego bytu, wystrzelą wspaniałem kwieciami świetnych barw, wówczas zakwitnie nowy maj!..

Z polskiego zagonia zrodzony, maj polskiej ziemi!..

J. OSTOJA.

Maj i jego uroczystości.

Szarzyzna dni zaciera pierwiastki głębsze istnienia, giną stare źródłiska prabytu, następuje jeno zewnętrzność człowieka, lub jego najprymitywniejsze właściwości — brzydkie, ordynarne, grube. Estetyzm i głębsze pierwiastki duchowe budzą się i wyłaniają z potęgą żywiołu w chwilach podnioslejszych, uroczystych.

Do takich chwil usposabia upojem miłosnym tchnąca przyroda majowa, rozkwitniona, dysząca czarem poezji tęsknej, poezji nowego życia i nieświadomych pragnień tworzenia tego nowego życia.

I oto widzimy tutaj wspólnotę naszego aryjskiego pochodzenia. Nazwa miesiąca i rodzaj uroczystości majowych wiedzie nas w mroki dawno, bardzo dawno minionej przeszłości, w kolebkową krainę Arjów prastarych, skąd ród swój, wiadomo, wszyscy europejczycy wywodzimy.

Indje. Fantazja ludu stworzyła postać precudną bogini, występującej w towarzystwie pra-twórcy świata. W mitologii indyjskiej, bogini tej nadano imię Maja. W niej, jak w zwierciadle przejrzała się istność najwyższa i mocą kontemplacji rozdzieliła ciemność od światła, a miłość, obudzona w jej duszy, stała się zarodem siły produkcyjnej, twórczej.

W fantastycznej szkole Vedantów uważa się wszystko, co zmysłami skrupowane człowiek poczytuje za rzeczywistość istniejącą, jako senny obraz bóstwa, a stąd i cały świat ze swemi zjawiskami jest tylko mamidłem, cieniem, pozorem (*maya*).

Maja jest także nazwiskiem matki Buddy.

W greckiej i rzymskiej mitologii była *Maja* najstarszą córką Atlasa i Plewny, z którą Zeus w grotcie arkadyjskiej góry Kyllene spłodził Hermesa. Dano jej na wychowanie Arkasa, syna Zeusa Kallistony. U Rzymian zwano *Mają* (Majesta) córkę Fauna i małżonkę Wulkana, boginię, identyfikowaną z *Ziemią*, (Magna mater) i zabijano jej na objętą prośną swinie w czasie Kalendów miesiąca maja.

W Polsce i Rusi przedchrześcijańskiej, bogini wiosny i zieloności nazywała się również *Maja*. W Pińszczyźnie i w wielu innych okolicach Litwy w d. 1 maja na błoni, przeznaczonem do zabawy, zakopywano drzewko zielone, przystrojone w różnobarwne wstążki. Ludność cała wioski przybywała tam, mając na czele

dziewoję hożą i dorodną, przedstawiającą boginię. Wieniec zielony zdobił jej skronie, gałązki brzożowe stanowiły rodzaj



szaty, bo do stóp ją okrywały. Śpiewano piosenki, pełne poezji, powtarzając często imię bogini. O *Maja! Maja! Maja!* i tańczono wokół. Teraz w niektórych okolicach obchód ten odbywa się w Zielone Święta.

Niektóre też okolice, np. Krakowskie do dziś dnia utrzymuje jeszcze prastary zwyczaj palenia Sobótek w Zielone Święta, który jakkolwiek z innego obrzędu bierze początek, jednak, o ile święta te wypadają w maju, obchodzony jest specjalnie. Młodzież, zwłaszcza dziewczyny, przychodzą wówczas na Sobótki w wienkach z gałązek brzożowych, które przy skokach tradycyjnych przez płonące ogniska, rzucają w płomienie.

* * *

Maj...

Słyszę, jak mówi mistrz Juljusz:

„Jest chwila, kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
Gdy wszystkie kwiaty po murawach dyszą”.

To chwila przedwieczera majowego, chwila, kiedy słońce głowę swoją złotą kłoni do snu i jakby znużone pocałunkami, składanemi kwiatom, przypada do pościeli z lekkich, powiewnych obłoczków, płynących cicho, majestatycznie po czystym lazurze.

Milkną słowiki, zachwytem niewysłowionych czarów przejęte, a rozlega się srebrna sygnaturka z wieży modrzewiowego kościoła, co pamięta dawne, bardzo dawne czasy. Dźwięczy sygnaturka, szumią lipy stare, lekki zefir unosi warokocze brzoż płaczących, a z plebanji do świątyni idzie siwowłosy proboszcz, by na czele rozmodlonego ludu zaintonować pieśń prastarą i przepotęzną: do Orędowniczki polskiej, Dziewicy Marji...

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi”...

To nabożeństwo majowe.

Niby łany zbóż pochylają się kornie głowy ludzkie przed ołtarzem, tonącym w morzu światła i w wienku zieleni.

Ale piękniejszy jeszcze wianek dziewic urodziwych i młodzusięńkich otacza ołtarz „Bogarodzicy - Dziewicy, Bogiem sławionej Marji, bo jej to miesiąc — Maj!..

I wszędzie, kędy tylko na rozstaju błyszczą z oddali figura święta, jarzą się światła wśród mroku wieczornego, wszędzie płynie pieśń, na skrzydłach poezji niesiona. I znowu i tutaj gną się czoła ludzkie, wezbrane i ciężkie natchnieniem, a serca drżą, spragnione kochania, przepojone tęsknicą kochania.

To maj, miesiąc cudów, czarów miesiąc — maj!

LESZCZYC.



U WIEJSKIEGO DYGNITARZA.

OBRAZEK. — (PRZEZ POBRATYMCA).

Przed chatą, poszytą słomą, na „pogródce“, grzejąc się do słonka, siedział góral od Myślenic i spożywał „jurzynę“. ¹⁾

Kapelusz zatłuszczony, ozdobiony białymi muszlami, położył obok siebie, na ziemi, albowiem w tak uroczystej chwili nie wypadało mu go mieć na głowie, i ujawszy w palce kawałek wędzonki ogryzał mięso koło kostki i przekąsał czarnym chlebem, którego kromka spoczywała mu na kolanach obok zatłuszczonego papieru i nożyka składanego, zwanego „żydkiem.“

Białe jego ostre zęby pracowały wytrwale, a od tłustości z wędzonki zajadającemu świeciła się cała broda i wargi porosłe szczecinną golonych wąsów.

Przeszedł spory kawał drogi i obecnie „futrował się“, aby znowu nabrać nowych sił, w miejsce tych, jakie postradał w forsownym marszu.

Pochodził z wsi Więciorki, która kryła się za górami, a przybył do kancelarii gminnej w Trzebuni po świadectwo moralności, którego potrzebował do „żyniaczki“. — Ponieważ wsie te miały wspólnego pisarza gromadkowego, którego stale przebywał w Trzebuni, góral musiał aż tutaj odbyć wędrowkę po ów dokument, niezbędnie potrzebny.

Przybył i zastał chatę zamkniętą. Pan pisarz, gdzieś w urzędowym charakterze bawił po za domem; żona jego i domownicy wyszli za robotą w pole i jeszcze nie wrócili. Od sąsiadów dowiedział się, że pana pisarza ino widno, więc siadł przed domem i czekał.

Wędzonkę już spożył, i z kromki chleba nie

pozostało ani okruszyny, a oczekiwanego jak nie było, tak nie było.

Jacentemu (bo takim imieniem obdarzono „górolicka“ na chrzcie świętym) „cheptło się“ kilka razy przy procesie trawienia, czas dłużyć mu się już począł, papierem zatłuszczonym w którego owinięta była wędzonka — zaczął sobie maścić włosy na głowie, aby się bardziej lśniły, resztą tłuszczu wytarł sobie potem na nogach chodaki, a pana pisarza jak nie ma, tak nie ma.

Powstał, nakrył głowę kapeluszem i zaczął „wyzierać“ po za węgiel domu, czy oczekiwany nie przychodzi.

— Kwała Bogu! lezie przecie! — powiedział do siebie.

Pan pisarz Trzebuni, Więciorki i Zawadki, trzech wsi z sobą sąsiadujących, Sebastjan Słowik, podpierając się laską, kroczył drogą ku swej chacie.

Albo buty miał ciasne na nogach, albo w głowie parę kufli piwa więcej niż wypadało, bo stapał ciężko i zygzakowato. Co chwila przystawał na drodze, stukał laską w jeden punkt przed sobą po kilka razy, i z ogromną powagą rozprawiał ze sobą.

— Jo cie psiokręść naucę! — tem zdaniem zwykle kończył dyskurs i postępował dalej.

Zbliżywszy się o kilkanaście kroków, dostrzegł, że ktoś go oczekuje, i już bez przystanków, szedł przed siebie.

— Pokwolony Jezus Krystus! Witojcie panie pisorzu! — zagadnął go Jacenty uchylając kapelusza.

Pan Słowik z powagą, jaka mu się należała, zwrócił oczy ku interesantowi. Na pozdrowienie nie odpowiedział, bo figura Jacentego wydała mu się w stosunku do jego osoby za marną, tylko jedną



Jacenty.

1) Podwieczorek.

ręką ujął się pod bok, drugą oparł na lasce po za plecami ustawionej, i „zrobił minę“ ogromnie urzędową.

— Czego tam!

— Przez urazy pana pisorza, przysedek piknie pytać o świadectwo moralności.

— Co?!!

— Toli, kce sie żynić z jedną dziopą az na Obidowój, i jegomoś kozali mi — jacy — przynieś świadectwo moralne, jako iz jezdem z tek stron i zyję jak się patrzy, i nie ma na mnie zodne skazy ani na tele co corne za pazurem.

— Świadectwo moralności!! — zawołał pan Słowik dyszkantem, niczem głos klarnetu w którego gardziel przy zawilgoceniu od deszczu woda się dostała. — A wiesz ty chłopie że takie świadectwo to jest gruby kawałek.

— Dyc miarkuję i to. ale ze zywoť sprawiedliwie prowadzę, toć myślę...

— Głupiścapie z twojem myśleniem. Co innego nowóz na tokach wozić, abo koniowi siecki nasypać do kobiółki, a co inksego dokoment urzędowy w ten deseń jak świadectwo moralności! — Bedzies go widzioł az się ociepli!

Wygłosiwszy tę pogroźkę splunął przed siebie, machnął laską, zakołysał się na nogach, którym podporę w ten sposób odjął, i zataczając się na boki, posunął ku chacie.

— O... o! panie pisorzu! — zaczął Jacenty „labidzić“ — dyciek téz nicego nie krzyw, a jak mi ten papier docie, to sie bedę znoł na rzeczy i nie bedę kcioł go dostać za darmo.

Na takie dictum złagodniał pan pisarz. Przystanął na moment, rzucił badawczym wzrokiem na Jacentego, a widać przekonał się, że na spełnienie obietnicy może liczyć, bo nieco spuścił z tonu.

— No! zobaczymy to. Póđz do kancelaryje!

Przyszedłszy przed dom, pan pisarz sięgnął ręką gdzieś ku strzesze, wyjął ztamtąd klucz przymoco-

wany do klocka, otworzył nim kłódkę zwieszającą się u skubli, drzwi skrzypnęły, i wszedł do sieni a z tej do izby, w której mieściła się kancelarja urzędu gminnego i salon przyjęć, oraz mieszkanie pana Słowika z familją. Jacenty podążył za nim.

Wokoło ścian stały łóżka zasłane piernatami i poduszkami o barwach liljowych w „poszecki“, pod oknem opierał się o ścianę stół na krzyżowych nogach i parę ław kulawych tworzyły umeblowanie kancelarji.

Przez szybki małe, upstrzone przez muchy, sklecone z kawałków porozbijanych szkiele, światło skąpo wpadało do wnętrza, a nizki pułap i ściany okopcone od dymu — dość nieprzyjemne sprawiały wrażenie.

Pan Słowik przestąpiwszy próg tej izby, najprzód ustawił swą laskę koło pieca, potem zdjął z siebie cuche, w którą był przybrany, natomiast zawdziął kitle z białego płótna, której cały przód przyozdobiony był plamami atramentowemi różnej wielkości i kształtów i w tym stroju urzędowym, w kapeluszu na głowie, zatoczywszy się parę razy, zasiadł do stołu.

Jacenty z przynależnym uszanowaniem stał przy drzwiach, miętosząc kapelusz w garści.

Z szuflady wyjął pan pisarz okulary zakończone obustronnie sznurkami, fuczając i stękając zawiązał je z trudem z tyłu

głowy, osadził na nosie i z tą oznaką władzy uderzył wzrokiem w interesanta.

— Godoj teraz czo kczes?

— Toli, przez urazy pana pisorza, przysedek po świadectwo moralne lo księdza z Obidowy, kuli żyniacki.

Kapeluszem skłonił się pisarzowi do nóg.

— Hm! to jest gruby kawołek!... Dużo mocie pieniędzy?

Dziękować Panu Jezusowi, mom ta pare centów przy sobie.

— Co?!! — wrzasnął oburzony pan Słowik, —



Typy ludowe z Trzemeśni.



pore centów! wnoś mi się chamie za drzwi w te pędy!

— Przez urazy — piknie pytom — a kielaz potrzeba na to mówięcy, bo człowiek chociaż chudobny ale zawsze sie ta pore sóstek u niego uzbiero.

— Głupiś chłopie jako but. Stąpel na świadectwo kostuje korune, a co do dokumentu to zalezy jak będzie pisany. Świadectwa są i tańse i drożse, to zalezy od różnek okolicności.

— Oj raty przeraty, nigdyk sie nie spodziewoł, ze to jenterys taki kostowny. Moze dwie sóstki by wystuparcyło?

— Głupiś chłopie z twojemi dwoma sóstkami.

Stąpel na korune kostuje osobiście, za papier osobiście, za jatrament i pióro osobiście, a zaś za koncept i pisanie osobiście.

Jacenty zaczął desperacko skrobać się po głowie.

— Kces mieć świadectwo napisane na całym arkusie — zapłacis wincy. Kces mieć go na półarkusie — bez kost mniejsy. Kces pisane jak sie patrzy literami jak durk musis kosta wszystkie do imentu zwrócić, a kces go mieć ladajakie — bedzies go mioł tani. Teroz wybieroj roz dwa, bo jo nie mom casu wiele z tobą deliberować.

Jacenty sięgnął ręką za nadržę, wyjął z za pazuchy szmacinę i począł rozwiązywać węzełek z pieniędzmi. Guzdrał się i guzdrał, wreszcie położył przed pisarzem koronę i parę niklowych dziesięciogroszówek.

— Tele tyz przyjmijcie bardzo piknie wos pytom, bo mnie na wincy nie stać. — Niby całując

pana pisarza w ramię, utarł sobie nos w rękaw jego munduru urzędowego.

Pan Słowik przeliczył grosze i nasrożył minę.

— Za stérdzieści halerzy to ci moge napisać świadectwo ale na papierze, w którym był tabak owinięty, abo z jedny strony już zapisany i to ołówkiem, bo za tele to sie nie wróci mój koszt jatramentu i pióra, rozumiesz?

— Przez urazy pana pisorza, mocie haw jesce sóstke, a napiście przecie jakie godne świadectwo, zeby śpilowało. — Położył jeszcze na stole dwudziestogroszówkę.

— Na gorzołe abo na inkse biśtyfranty to piniądze mocie, ale jak przydzie wynagrodzić ciężką pracę kalkulanta kancelaryjnego, to wtedy sie skurcocie i radzibyście za lada bzdure zeby wom na pergaminie dokomenta wypisywać, bestyjalskie kudronie, wy! Jo sie z tobą świndrygo targowoł nie bede, bo mój honor na to nie pozwolo, ale przydzie koza do woza i powie: meee...

— O rety boskie święte! panie pisorzu, dyć też zmiąknijcie kapkę, bok chudopachołek i strasnie człękowi trudno o ten grajcor, ale jak sie telko ozynie i przyde do jakiego grosa, to nie bede zadowolował i piknie wom syćko wynogrodze.

— Ehe! bedzies mi tu lukrowoł obietnicami! myślis ze mnie tym przekupis. Zreśtą beemy widzieć.

Przysunął ku sobie flaszkę z atramentem, wyjął



Góral z Lubnia.



Typy ludowe z Myśleniec.

z szuflady stalówkę, koniec której z zaschniętego atramentu przyozdobiony był w kulkę smaru, — gdzieś w szufladzie wyszukał stary stempel i skrawek papieru, liznął językiem po stemplu, przyklepił go gdzie należy uderzył w niego pięścią aż się szyby zatrzęsły, i machając ręką zabrał się do pisania.

— Jak sie nazywosz? — Jacenty Wnąk.

— Bez „ą“, cy „o“ i „ń“?

— Jak godocie? — nie miarkuję.

— Całuj psa w nos. Nie ma z tobą co godać, bo widze żeś *ruła* do nicego. Kiela mos lot?

— Na Wnibowzińcie obróciło mi sie na trzeci po półkopku. — Byłeś kiedy zyniaty?

— Jako żywo. Kawalir od urodzynio.

— Dzieci nie mioieś?

— Jacenty się zamysłił głęboko. — Cheba nie.

— Prowde godos? — Sumiennie? — Uderzył się pięścią w piersi aż jętkło.

— Beemy to widzieć. Kaś sie urodziul?

— Je w chałupie.

— Głupiś! W wtorej wsi — cie sie pytom.

— Je dyć w Więciórce. — I tam miskos?

— No juźci.

— Z cego zyjes? — Ze zorobku.

— Ale jakiego?

— Dyć kole grontu robie i jak to na wsi, wiecie...

— Do spowiedzi chodzisz? — Chodzę.

— Rozgrzyszenieś dostoł? — Je jagze.

— Koranyś był? — Jako żywo.

— Prowde godos?! bo tu śpasów nie ma. Godoj jak i co, bo bee źle.

— Nibe o co pytocie?

— Koranyś był?! — Ko... ko... Niby w skole?

— Jo ci dam kudroniu skołę. Ty mnie nie zagaduj, ino godoj cyś był sądownie korany?

— Hano! juźci — po prowdzie powiedziawsy — ukorali mnie ale niesuśnie.

— Za co? — Ano za bitke.

— Ileś dostoł kozy? — Śtyrnoście dni, ale...

— A wincy? — Jesce wincy?

— Ty mi sie nie wymiguj, ino godoj prowde!

— Toli godom ze i za pijaństwo.

— Wielas dostoł? — Trzy dni hareštu.

— A jesce za co?

— No... no... no... i za Maryne... — Co zaś?

— Toli zek Marynie od Maniorka ze śpasu krwie kapke z nosa puściul, cołkiem niesprawiedliwie, bez złość zasądziłi mnie, psieduse na osiem dni, ale to przed dwiema rokami...

— Ale więcy za co jesce?

— Wincy juz ani krzty! sumiennie godom.

— Mozno ci wiezyć? — Dyć jak sie, submituje...

— No to nic; bo te kory honorowe sie nie lica, telko za kradziez, cudzyłstwo...

— El próznioki godocie; z tem ja nienarobiom.

— No to dobrze. Świadectwo ci dom pikne, ale mos mnie na wesele zaprosić, a ten tydzień jesce przynieś mi słupek kalmusowy,

— Dobrze, dobrze, panie pisorz. Niegze bedzi i tak. — Skłonił się głęboko kapeluszem.

— A nie zabocysz? — Jako żywo.

— Zróbze se — gajdo — węzelek na chuścinie.

— Świadectwo ci takie wyrzne, że twój jegomeś z Obidowy zdębieje, jak przecyto. Rozumioieś?

— Coby nie. — Jacenty znowu uciera sobie nos w rękaw munduru urzędowego u Słowika.

— Bardzo pikne świadectwo dostanies, — mówi pan pisarz, prowadząc ręką po papierze. — Rodzoniemu ojcu bym lepszego nie doł. Ale kalmusówka bedzie? co? — Bedzie.

— I na wesele mnie bedzies prosiul? — Coby nie.

— I węzelekeś sobie zrobiul? — Zrobiul.

Za chwilę.

— Teraz słuchoj cok ci napiso! „Świadectwo moralności! Zwierzchność gminna z wsie Więciórki zaświadczo sumiennie i sprawiedliwie, jako Jacenty Wnąk, grontownik, wstanie wolny, w Więciórce spłodzony, tutok 33 roki żyjący, do spowiedzi chodzący, rozgrzyszenie mający, małżeńskiego stodia pragnący, z procy rąk sie utrzymujący, jest cysty jak szkło abo porcyrella, i prowadzi sie do imontu moralnie, winc moze sie zynić kiej kce wedle wszelkich praw Jadamowych i Kościelnych, w dowód cego podpisujemy sie wła noręcznie przy przycisnieniu piecontki urzędowyj.

Winciórka, 18 października 1911. (Krzyzyk) Jon Mastela, wójt, ma Nopro i pije**). — (krzyzyk) Symon Wątor, przysięzny, ma Nopro i pije, — (krzyzyk) Jakób Duda, przysięzny, ma Nopro i pije, — podpisołek nieumiejencyk pisać Sobestyjan Słowik pisorz gminny, ma Nopro i pije“. — Słysoeś?

— O raty! anik sie nie spodzioł takiego piknego świadectwe. — Skrobie się ukontentowany po głowie i całuje pana pisarza w rękaw.

Jesce ci pieczętke przywale.

— O raty!

— Będzies wiedzioł głąbiu że jagek dobry, to mnie do rany przilożyć mozno.

— O raty!

— Ale mi kalmusówki przyniesies? — Przyniese.

— I na wesele zaprosis. — Zaprose.

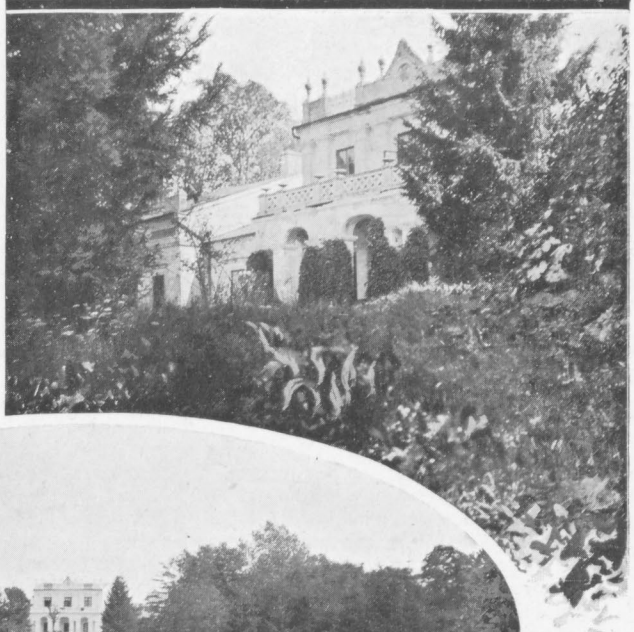
— I węzelekeś se zrobiul? — Zrobiul.

— No, to mos kudroniu świadectwo i chyboj za drzwie, a pamintoj sobie, zek ci go napisoł z proste zycliwości, bo to coś mi haw końduś kapnuł, to tele co nic. Chyboj po Kalmusówke i zyn sie!

***) manu propria.

Tomaszewice

Gub Lubelska wł. P. Ostromecki



Widok od str. parku



Fragment z parku

Podjazd



Kaplica

W NOC CICHĄ.

Wody Lemanu usnęły u stóp zadumanych gór. Powietrze nasiąkało promieniami zachodzącego słońca, które kładło niby złotą sieć pajęczą na ciemny lazur jeziora, zalewało potokami światła stoki gór i malowało zieleni wybijając barwami lśniącego szmaragdu.

Aż słońce zeszło powoli na skłon nieba i wnet poczęły różowieć wzgórza, grać purpurą białe, iskrzące szczyty i kąpać się w czerwonych blaskach urwiska i skały, otulone wiecznym całunem śniegu.

Na dole powoli zamiera życie, lecz w górze drga i bije potężnym tętnem. Jakaś świetlista potęga ubiera zimne, spokojne góry w szaty królewskie. Idzie od nich powaga majestatu, siła i moc niezwykła, aż zdumiał się orzeł, płynący wolno w przestrzeni w dal nieznaną...

Szczyty rosna, skrząc się rubinami, krwawe stoki pną się ku wyżynom, jakby pochwytać i zatrzymać chciały strzełistymi ramionami słońce, pana świata, dawcę wszechbytu i wszechżycia...

Cały okrąg wyniosły płonie ogromnym pożarem. Namiętna orgja barw, potężną falą światła uderza w toń omiłego Lemanu, jakoby zapaloną wszechświata pochodnią życie i siły nowe z niego wskrzesić chciała...

Powoli szkarłaty przechodzą w łagodne tony fioletu, gasną niższe stropy, błysną jeszcze tu i owdzie na szczytach gorętsze blaski... Chwila jeszcze — i ucichła burza tonów i barw; księżyc, król nocy, jał siał na wody, doliny i góry potoki cichego, srebrzystego światła.

* * *
Cisza, ogromna cisza...

Od zamku Chillonu, odbił słabem uderzeniem wiosła łódź nikła, wygnaniec samotny dalekiej ziemi. Lekko zmarszczyła się powierzchnia jeziora i potoczyły się nikłe kręgi, aż statek, jakby niesiony dłońmi liljowemi bogini podwodnej, zdążyć począł w dal, nie maćąc spokoju fal śpiących.

A z ust wygnańca pieśnią cichą skarga popłynęła tęskna, płakała górą i wodom żał za życiem, za szczęściem, za marzeniem dni minionych i dni zgasłych niepowrotnie...

Drgnęły i pochyliły się szczyty, jakby zasłuchane w skargę, co szła ku nim wraz z oparem wód, szła coraz cichsza, boleśniejsza...

Zbudziły się sennie tonie i wtórują pieśni żalostnej nieuchwytnym szmerem, zakotywały się w smutnym rozgarwie gaje nadbrzeżne i podały ton dalszym stronom...

A pieśń szła przez pola i lasy, i doliny zielone góry samotne w dal... do kraju... do swoich...

* * *

Dziś ostatnie otrzymał pożegnania. Kochał całą siłą młodego, gorącego serca, wszystkie skarby ofiarnej swej duszy składał u stóp wybranej, opromieniał ją poezją wyobraźni swej płomiennej — śnił, kochał i marzył.

I poszedł w świat szukać jego cudów, by je u stóp jej złożyć, — szukać piękna, by wieńczyć jej skroń, — hartować wołę i sławę zyskać, by być godnym swej wybranej, swej cudnej królowej.

I wierzył, że wróci i powie: Mam cuda i skarby i sławę i piękno, to wszystko dla ciebie!

A dziś otrzymał jej pożegnanie — na zawsze... Nawet nie dziwi się już, choć wie i czuje, że nocą mu otdał życie i mrozem ścięte kwiatne duszy ogrody. Tak przyjęść musiało...

Świat — stosunki — ludzie...

* * *

Oto idzie ku niemu na fali powrotnej wspomnień i tęsknot. Idzie cudna, promienna, cała srebrna w blaskach nadziemskiej urody, jego królowa piękna...

Więc to był błąd jakiś straszny?..

A teraz widzi, że ona mu wierna, bez fałszu i obłudy:

Jak wróżka dobra koi ból, wlewa spokój w duszę splakaną i lekkim dotknięciem dłoni chłodzi rozpalone czoło...

Więc skarży się: „tęskniłem i cierpiałem, — kochałem i wierzyłem. Czuję, że to kłamstwo, że tylko złość ludzka nas rozdzielić pragnie”...

A ona kładzie mu rękę słodką na blade usta i całuje czoło i oczy zapadłe...

— „Nie odchódź — szepce, tak dobrze mi, — zostań, jedyna“!

I wyciąga ramiona, jakby w gorącym uścisku chciał przykuć marę szczęścia i sen swój złoty porwać w stęsknione objęcia — pochyla się, siania...

* * *

Na dnie Lemanu śni cicho, spokojnie, przybysz obcej ziemi. Usta opromienił mu uśmiech radosny — zaciśnięta dłoń przyciska do serca list zmięty — ostatnie pożegnanie.

Pusta łódź płynie ku wybrzeżom, a księżyc srebrny przegląda się w nurtach Lemanu, co szemrzą echa pieśni ginącej.

Cicha noc sennem ramieniem objęła góry i wody...

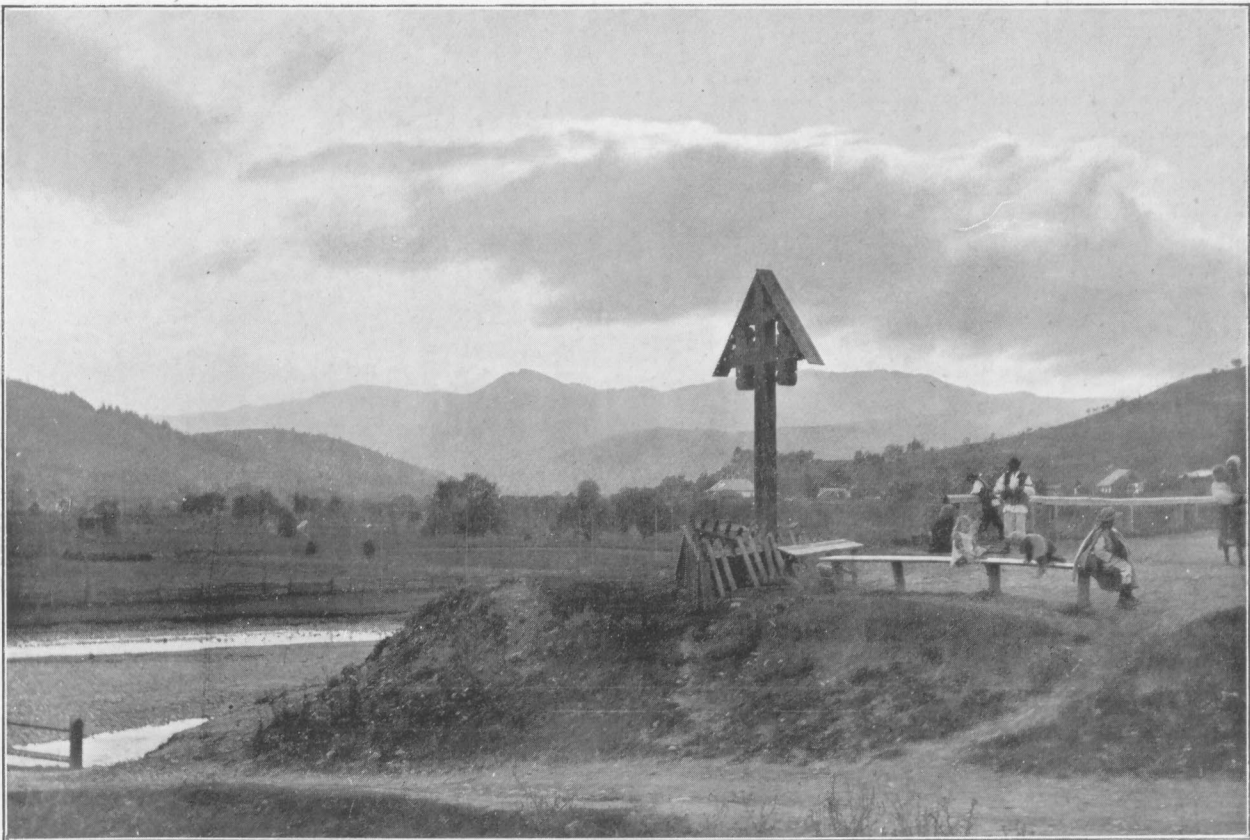
TADEUSZ JAWORSKI.



Widok przy księżycu. Topole w Zbójnie (fot. amat. p. Rościszewskiej).



Noc na Świtezi (fot. amat. J. Bułhaka).



Żabie — przed Dworkiem Czarnohorskim (fot. Wł. Zapalski).

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

JAK JASIEK Z USTUPU,
HANUSIĄ OD KRÓLÓW
I MARTĄ UHERCZYKÓWNĄ Z LIPTOWĄ —
ŚPIEWALI W JEDNO SŁONECZNE RANO KU SOBIE.

Jasiek z Ustupu szedł z Ciemnych Smreczyn ku Zaworom. Z lasu on wychodził czarnego, gdzie taka głusza leżała, że aż bojno było posłuchać. Nic się tam nie odezwało, tylko dzik zaszucił w maliniakach, jelen zbeczał gdzie przy wodzie krótkim, urywanym, gwałtownym bekiem, albo cietrzew zafurczał w gałęziach. Na prawo od Jaśkowej drogi huczała Sikława z niżniego Ciemnosmreczyńskiego Stawu w Piarzystej Dolinie. Tam kóz moc. Po Pośrednim Wiérchu, po Cubrynie, po Liptowskich Murach chodzą kierdelami jak owce.

„Kozicki, Kozicki, wtórzysz hadzajom?”

W dolinie Piarzystej, tam one bywajom“

— jest śpiewka.

Sucha, od piorunu uwiędła, czerwona limba popod Zawory rośnie, tam idzie Jasiek z Ustupu, a śpiewa po wesołemu, ze zbójceka. Ale od zbójceckiego wesela do szubienicy zawsze nie precz. Co zbójnik krok ukroczy, to ku niemu śmierć krokiem bliżej.

Tak on śpiewał:

Ej moja freirecko, nie załuj mi gęby,
Ej bo mi juz śmierztecka wysycrzyje zęby!
Ej moja freirecko nie załuj mi dudka,
Ej bo mi juz hań zwoni za zomecku kłódkka.
Ej moja freirecko nie załuj mi licka,
Ej bo sie mi hań z wiérsku iskrzy siubienicka.
Ej moja freirecko nie trzymaj mie w sieni,
Ej bo mi juz na truhłe tén jedlicke ścieni.
Ej moja freirecko nie załuj mi ciała,
Ej bo mie pohowajom, ty bedzies płakała!...
Ej ha!...

Myśli on sobie tak śpiewając o Hanusi Królównie, która się w nim mocno zakochała i niczego mu nie odmawia, owszem sama się tuli, i choć się wstydzi, niemoże westchnień miłosnego pragnienia zatłumić, kiedy są ze sobą na szopie przy Gąsienicowych Stawach. Tam ona pasie krowy piękne, cisawe i czarne, siwe i czerwone. Nazywają się Brzezula, Cisula, Kawula, Łaciata, bo

wiele na niej łąt białych, czarnych i żółtych, Siwula i rozmaicie jeszcze inaczej. Piękne to są krowy, dobrze się pasą i dużo dają mleka. Miło jest patrzeć, kiedy pozberkując spiżowemi dzwonekami, stąpają po zielonej trawie i mchach pomiędzy kosodrzewiny, skubią trawę i mech, lub ległszy rzędami, przeżuwają połknięty pokarm. Poją się one w czystym potoku, co z Zielonego Stawu z pod Świnnicy płynie, a na noc zamykają do szopy, na strychu której jest posłanie Hanusi. Zaszła ona teraz het aż na Liljowe, poziera ku Tatrom i śpięwa kochająca:

„Janickowa краса rada owce pasa
We dnie po dolinie, w nocy przy dziewczynie...”

[Ale obecnie odbiegł on owiec w złodziejskim interesie na Liptowie koło Hradku].

Nie było, nie było nad wirsyk zielony,
Od orawskiej strony cisem porośniony.

Nie było nie było nad Jasia mego,
Kiek go uwidziała z wirsku zielonego.

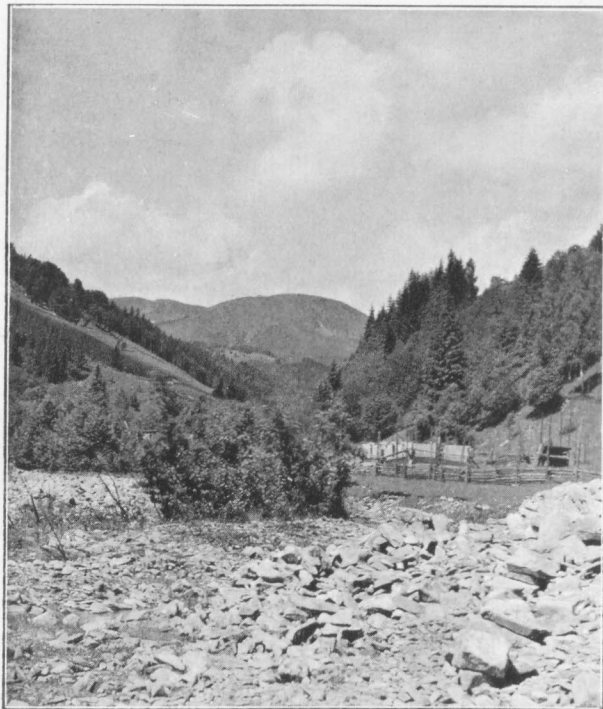
Kiek go uwidziała, jaze mi zagrzmiało,
To moje serdeccko skrzydłem się mi stało.

Skrzydłem się mi stało, skrzydłem poleciało,
Na Jaśkowej ceście słońcem zajaśniało.

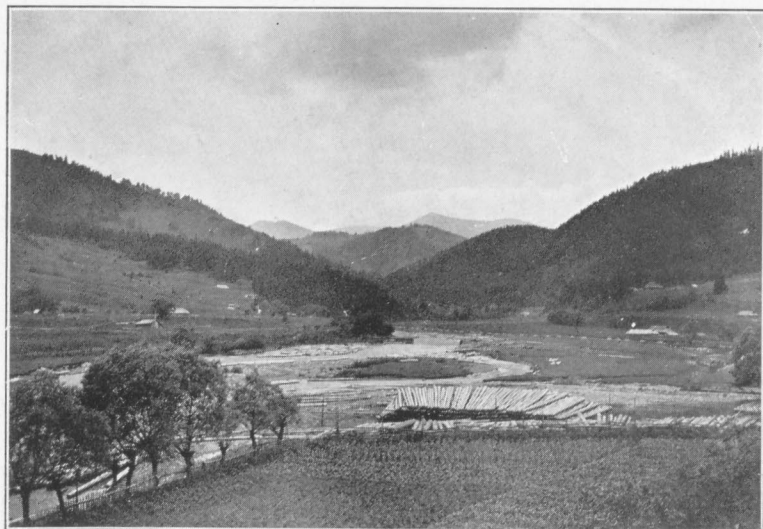
Poziórojcie dziewczki, poziórojcie w pole,
Jako se Janicek idzie między skole.

Darmo wy się dziewczki w niego wpatrujecie,
Bo on ino jedne mnie widzi na świecie!...

Wiedziała ona, że ku Jaśkowi wiele dziewcząt we wsi serce obraca. Nie wiedziała jednak, że w polanach popod Krywanem, pod Doliną Ważeczką, z kąd widać pochylony, zielony szczyt Krywania, potargane turnie Ostrej i Krótkiej i wyniosły, zębaty grzbiet Soliska, gdzie rosną ogromne trawy, człowiekowi pod pachy, i moc ziół i kwiatów bujnych i woniejących, swobodnem słońcem z ziemi dobytých: piękna i smutna Marta Uherczykówna, (z pokolenia tych Uherczyków, z których jeden Janosikowym towarzyszem był i przy jego boku w walce z żołnierzami cesarskimi zginął), serce swoje i młode, gibkie i pachnące żywicą ciało ofiarowała Jaśkowi na miękkich mchach w podkrywańskim lesie, w południową spiekotę słońca, kiedy moc ludzi odchodzi, a członki same się wyrwywają do uścisku. Opowiadał on jej o swoim bogactwie, jako mu się sto własnych owiec po Kościelcu pasie, strzeżonych przez psy wielkie i silne, których jest sześć. I tem bogactwem ją załśnił i przyniewolił. Naprawdę zaś miał on owiec sześć, a psa żadnego. Ale używszy jej, skuszony opowiadaniem krasy, odszedł i, co miał powrócić, nie wrócił. Więc piękna i smutna Marta Uherczykówna, której lica smagłe wyhodowała zimna woda kryniczna



Żabie. 1. Dolina Bystrzeca. 2. Widok na „Kreťą”
(fot. Wł. Zapalski).



Żabie. Dolina Czeremoszu (fot. Wł. Zapalski).

z Ważeckiego potoku, a krągłe czarowne biodra wykołysał wiatr z Krywania wiejący, zna swą dolę i śpiewa pełna żalu;

Hej Krywaniu, Krywaniu
Wysoki!
Płyną, lecą z pod ciebie
Potoki! —
Tak się leją moje łzy
Jak one.
Hej łzy moje, łzy niezapłacone...

Hej Krywaniu, Krywaniu
Wysoki!
Płyną lecą nad tobą
Obłoki —
Tak się toczy moja myśl
Jak one,
Hej te myśli, te myśli, stracone...

Hej Krywaniu, Krywaniu
Wysoki!
Idzie od cię szum lasów
Głęboki,
A mojemu idzie żal kochaniu — —
Hej Krywaniu, Krywaniu, Krywaniu!...

Zaś Jasiek z Ustupu, rad z siebie i wesoły, jako zwykle parobek góralski, któremu się wszędzie równo zdaje i który się nieczuje idąc, wyszedł był właśnie na Zawory i patrzył ku polskiej stronie. Mało ma już drogi; przekielźnie po zboczu pod Walentkową, śmigłnie po trawach popod Świnnicę i już jest na Liljowem, z kąd widać szalasy przy Stawach Gąsienicowych i szopę Hanusinę, gdzie jest słodko spać, a słodziej jeszcze nie spać. Rozejrzał on się wkoło i tak sobie zaśpiewał, aż zahuczało po Gołych Wierchach nad Wierchcichą i Koprową Doliną:

„Hej! na mojej polanie sto owiecek stanie!
Ty moja dziewczyno pozióroże na nie!”

Ej, polana nie moja, owiecek nie było,
Ej, ale mie śwarne dziewczce zalubiło.

Kochała mie jedna w podkrzywiańskim lesie,
Druga mi od Stawów serce w piersiach niesie.

Cekoj ze mie Martoś w Ważeckiej Dolinie,
Bo mi Hanka z zolu dobrze nie zaginie.

Wyzióroj mie Hanuś przy tym Cornym Stawie,
Bo mi pod Krziwaniem kwiotek zrós na trawie.

Kany sie wywine, kany sie obróce,
Jedne se pociese, drugom se zasmuce.

Nie bedem pas owiec, nie bedem robił nic
Minon mie Mikułac, cos mi powie Wiśnic?

Ej niek mi ta powie, jako mu się fciało:
Mojej fantazyji siedem zomków mało!

„Powiadali na mnie: popuść fantazyjom!
Jo jej nie popuscem, hocij mie zabijom!”

Niek mi kat sablicku na osełce brusi;
Dy i oreł w niebie — jedno zginonć musi.

Bruś ze mi, kacicku, sable na osełce:
Lepi brusi dziewczce serce swe o serce!...

Tak on śpiewał, bardzo śmiały i niedbający o wiele ani o dziewczyny, których Pan Bóg nasiał po świecie, jak jodeł, ani o życie własne, które i tak zabierze, a dbający tylko o honorność i uciechę życia. Tak śpiewali ku sobie w jedno słoneczne rano Jasiek z Ustupu i jego kochanka Hanusia od Królów, i piękna i smutna, woniejąca żywicą Marta Uherczykówna z Liptowa, która na mchach podkrzywańskich swoje młode ciało z miłości omglawające oddała...



Z Gorganów. Widok ze szczytu „Siniaka” na węgierską stronę w mglisty poranek (fot. Wł. Zapalski).

NA CIĄGACH



Fałszywie zupełnie przyzwyczajono się u nas uważać jesień i zimę za najpiękniejszy sezon myśliwski. Dla myśliwego, polującego ze strzelbą, nie jest to bynajmniej najpiękniejsza, najobfitsza we wrażenia pora łowów. Jest to zapewne sezon główny dla myśliwych strzelców, takich, którym przedewszystkiem idzie o konkretny, realny rezultat — o rozkład i jego liczbę. Sezon, w którym dziesiątkami całami można zabijać kuropatwy, a zwłaszcza zające i bażanty na miotach nagankowych w lesie, lub w polu polując w kotła czy „sztrajfą“, stanowi ilościowo ważną ponętę dla wszelkiego w myśliwskim fachu pozytywisty. Ale myśliwy-romantyk, myśliwy-rycerz, myśliwy-poeta — woli inne sezony. Te właśnie, w których w knieję idzie bez licznej kompanji, bez „büchspannerów“ podających mu drugą broń na stanowisku do rotowego ognia, bez strzelców i naganiaczy, kiedy jedynym towarzyszem jest mu stary wyga — borowy i co najwyżej dobrze ułożony legawiec lub tropowiec, ale kiedy natura cała w pełni rozkwitu swego, w momencie powracania do życia ze snu zimowego, wszystkie swe tajemnice przed nim odkrywa, kiedy łowca taki samotny do woli napawać się może nie tylko tryumfem rzuconej przez siebie w naturę śmierci ale całą krasą i potęgą pulsującego dokoła tajemniczego życia leśnego!

Bo prawdziwemu myśliwcowi nie idzie o to zniwo śmierci koniecznie. Z samotnych wypraw takich powraca nieraz po jednym ale dobrym, w niezwykłych warunkach dokonywając strzału, z jedną tylko, ale królewską zdobyczą. A jeśli nawet nie przyjdzie do strzału, to wcale się tem nie martwi. Wraca upojony pieśnią przyrody, hymnem tajemnic życia podsłuchanym *in anima vili*, w momencie i miejscu dalekich od ludzkiego skrzętu i gwaru.

Taką wyjątkowo piękną, wyjątkowo w szlachetne wrażenia łowieckie obfitą porą, prawdziwą *haute saison* myśliwych-amatorów, jest czas ciągów i to-

ków na wiosnę, a na jesieni — wrześnie bękowsko jelenie.

Ciągi i toki, owa pora godów weselnych tajemniczych, wędrownych, długodziobów — słonek i tetraonidów jest istotnie okresem, który pod względem ciekawości wrażeń, niema sobie równego w roku myśliwskim.

Ciąg słonek dotychczas przecież z punktu badań ornitologicznych jest tajemnicą. Dlaczego ptak ten ciągnie wieczorem najchętniej? dlaczego gdy swoje odprawia po zachodzie słońca wbrew obyczajom wszelkiego leśnego i polnego ptactwa? To właśnie tajemnica długodziobów. Tajemnica kusząca, co podnieca myśliwskie serca i każe próbować niepewnego strzału przy zapadającym zmierzchu.

Jakże się zresztą kiedyindziej spotkać ze słonką?

„*Der Vogel mit dem langen Gesicht*“, jak słonkę niemieccy nazywają myśliwi, zapada w błotnych smugach i cichych ostępach leśnych tak tajemniczo i skrycie, że tylko przypadek jakiś może z nim zetknąć myśliwego. I wówczas zwykle spotkanie takie bywa niespodzianką mijającą tak szybko, że niepodobna przyjść do strzału — niezwykła zdobycz przepada.

Jesienne ciągi są słabe, wiadomo. Na wiosennych tylko, weselnych, bywa i obfitość tych ptaków i oczekiwanie pełne emocji i strzał nawet łatwiejszy.

Lat temu kilkanaście, w Opoczyńskim gospodarując, z polowania na ciągach wiosennych spałem epizod dosyć niezwykły, jakiego nigdy nie zaobserwowałem później, mimo że niejednokrotnie polowałem jeszcze na ciągach w różnych okolicach kraju, nawet w miejscach niezwykle gęsto nawiedzanych wiosną przez słonki.



Wiosna, na mokradłach (fot. W. Wagnera).

Zima wówczas około pierwszego marca zgorzała nagle i słońce podczas pogodnych dni poczęło tak silnie przygrzewać, że w jednym tygodniu stopniały śniegi i lody, a wiatr południowy obciągał rozmiękłe pola, na których wesoło zieleniła się ruń ozimna. Wiosna przyszła wczesna, dziwnie pogodna i ciepła. Jakoś na dwa lub trzy dni przed świę-

tym Józefem zameldował mi borowy Łukasz przy dyspozycji wieczornej, że widział już dwie słonki ciągnące na olszynie podmokłej co od lasu klinem się w łąki wrzynała i postanowiłem rozpocząć wieczorne wychody.

Zeszło jednak parę dni przerwy wywołanej ciepłym deszczem, tak że dopiero jakoś w ostatnich



Cietrzewia polana (tokowisko) (fot. W. Wagnera).

dniach marca, ogromnie nagabywany przez Łukasza wyruszyłem w olszynkę.

O samym zachodzie słońca stanąłem w olszowym lasku, mając za sobą zieloną ścianę sosnowego boru, przed sobą wężki cypel łączki przetrniętej cienką nitką sączącego się z rudawizn strumyka, obramowany znów z drugiej strony długim pasem olszyny.

Miejsce było wyborne. Łukasz stanął o kilkadziesiąt kroków dalej, przy nogach moich przysiadł czarny pointer „Bzik“, ogromnie karny i wielkich zalet pies, myśliwy też zawołany.

Zaledwie rozpałała się na zachodzie szkarłatno—złota luna blasków po słonecznej tarczy, usłyszałem od olch za łączką znane ciche chrapnięcie i na czerniejący płat nieba wypłynęła ciemna sylweta szybko na mnie ciągnącej słonki. Złożyłem się błyskawicznie i strzeliłem na sztych z prawej lufy. W chwili jednak kiedy pociskałem cyngiel, zamajaczyła mi nad szczytami olszyn w promieniu, który wzrok obejmował, druga sylweta i bezpośrednio po strzale usłyszałem przeciągłe „kli-i-i-sst! kli-i-i-sst!“

Byłem tym tak zdziwiony, że strzeliwszy nie odjąłem broni od twarzy — a może dublet? przemknęło mi przez myśl... Pierwsza słonka ciężko uderzyła o ziemię; druga ciągnęła w trop za nią, wabiąc—samiec widocznie; „Bzik“ zaskomlił cicho chcąc aportować, ale szepnąłem mu „leżeć!“—czekałem na dubleta. Wtem samczyk, którego już brałem na muszkę, w kozłach raptownych zwinął

się ku dołowi. Opuściłem broń, ale leciał tak szybko, że straciłem jego sylwetę na szarem tle olszyny i bezradnie broń z przykładu odjąłem.

Przeciągłe, namiętne „kli-i-i-sst!“ zabrzmiało znów z prawej strony. Samczyk wznosił się obok mnie w górę, prawie pionowo — zwrócił się, przepłynął mi nad głową nim miałem czas się złożyć, zatoczył koło i znów się nad łączką zniżył, wabiąc. Powtórzyło się to jeszcze dwa razy i nie mogłem dojść do strzału. Przyznaję zresztą, że byłem tak tem krążeniem zdziwiony, iż zdecydowałem się nie strzelać jeszcze. Samczyk zatoczył znów łuk nad łączką i wabiąc opuścił się na ziemię w miejscu, gdzie padła zabita moim pierwszym strzałem jego kochanka.

Zrobiło mi się bardzo niewyraźnie.

Tam, o kilkanaście kroków przedemną, na zimnej darni, w zapadającym zmierzchu wieczornym rozgrywał się bolesny dramat, czułem to. Samczyk szukał samiczki i — znalazł ją martwą...

Czy ptasie, maleńkie serce inaczej bije niż ludzkie?

Wówczas byłem pewny, że ból szarpie to małe serce tak samo, jak serce człowieka i czułem, że popełniłem zbrodnię.

Dopiero strzał borowego Łukasza przerwał mi smutną zadumę.

Posłałem „Bzika“ po moją zdobycz. Samczyk uleciał cicho w las. Nie mogłem zdobyć się na strzał do niego, choć ciągnął bardzo blisko...

KNIEJOWY.

Wystawa architektoniczna w Krakowie.

Jak z samego tytułu wynika: „architektura w otoczeniu ogrodowym“, strona ogrodnicza zajmować będzie na wystawie wybitne miejsce. Wszystkie domy będą miały swoje ogródki, nadto cały plac wystawy i dwa główne pawilony będą udekorowane obficie kwiatami i roślinami. Pod tym względem dzięki zainteresowaniu się i zrozumieniu własnej korzyści ze strony najwybitniejszych firm ogrodniczych wystawa zapowiada się świetnie. Podług planu opracowanego przez specjalną komisję ogrodniczą z łona Komitetu wystawowego, cały teren został rozdany pomiędzy poszczególne zakłady. I tak udekorowanie kwiatami wejścia na wystawę i pawilonu głównego, różanecznik przy dworku i urządzenie ogródka przy domku rękodzielniczym wzięły na siebie zakład im. św. Józefa dla sierotnych chłopców; urządzenie ogródka przy domku robotniczym — krakowskie Towarzystwo ogrodnicze (Zakład „Glinka“); obsadzeniem ogrodu przy dworku i samego dworku owocowemi drzewkami karłowatemi zajęmie się zakład ogrodniczy „Pomona“ pod dyktando p. Gauché. Szkółki drzewek leśnych i ogrodowych hr. Tadeusza Łubień-

skiego w Zassowie dostarczą drzew do obsadzenia alei głównej, do zagajników oraz róż przed budynek teatralny. Zakład sadowniczy „Piaś“ rady powiatowej w Wieliczce dostarcza drzew i krzewów do obsadzenia ogrodu warzywnego przy dworku i do sadu włościańskiego; sam zaś ogród warzywny urządził p. Andrzej Galli, kierownik ogrodu Zakładu Helclów. Ze szkótek miejskich wysadzono kilkadziesiąt sporych lip, które tworzą aleje spacerowe przy dworku. Ogród włościański urządził dyrektor szkoły w Dąbiu radca miejski St. Szarek. Zakład ogrodniczy Emila Freege wypożycza różne krzewy i drzewa. Nadto Syndykat rolniczy w Krakowie przyrzekł dostarczyć nasion rolnych i traw, a Związek hodowców nasion — nasion kwiatów; wreszcie jeden z hodowców — amatorów dostarczy znaczną ilość pelargonji angielskich. Tak więc wystawa urządzona pod względem ogrodniczym przez fachowe siły ze specjalnem uwzględnieniem użytkowej strony ogrodu, przedstawi się szerszej publiczności, jako kolonja podmiejska, tonąca w zieleni i kwiatach.





Jakimówka, własność pp. Gnatowskich. Front dworu od podjazdu (zdjęcie amat. p. Wojnarowicza).

JAKIMÓWKA

(GUB. KIJOWSKA, POW. TARASZCZAŃSKI).

Gdyby cię, czytelniku, czy to z potrzeby czy przypadkiem, losy rzuciły na ziemię byłego województwa Braclawskiego, w okolicy starej siedziby ks. Czetwertyńskich i Zbaraskich — Żywotowa; mile uderzy twe oko pewna falistość gruntu i malowniczość krajobrazów, które w porównaniu z graniczącą Humańszczyzną, o typowym charakterze stepowym, widoczny stanowią kontrast.

Piękne, gęsto tu rozrzucone „sadyby“ ukraińskie, jak oazy, wskwarne lato, wabią podróżnego zielenią swych sadów i kryształem wód, przy których mieszczą się, zazwyczaj w zaciszu „jarów“.

Jestich jeszcze sporo, a chociaż nowe wymagania i amerykański sposób prowadzenia gospodarki, szczególnie w pobliżu fabryk cukru, zaczynają wytwarzać nowy typ środowisk ludzkich, o wyglądzie przeważnie banalnym, — spotkać tu jednak można jeszcze i takie dwory, gdzie tradycja prostoty, połączonej z wygodami życia, a nieraz i komfortu, bez pretensji do wielkopańskich rezydencji — dotąd stale gości.

Widać, że tu żyli ludzie, którzy nie uważali siebie za przygodnych przybyszów herbu: „ibi patria — ubi bene“, lecz szczerze kochali swój szmat rodzimej ziemi, w której wieczny przytułek znaleźć pragnęli, — pamiętali oni nietylko o sobie, ale i o zawsze mile witanych gościach, budując swe obszerne dwory i trafnie umieli stosować w życiu zasadę: „dulce et utile“, nie zaniebując strony

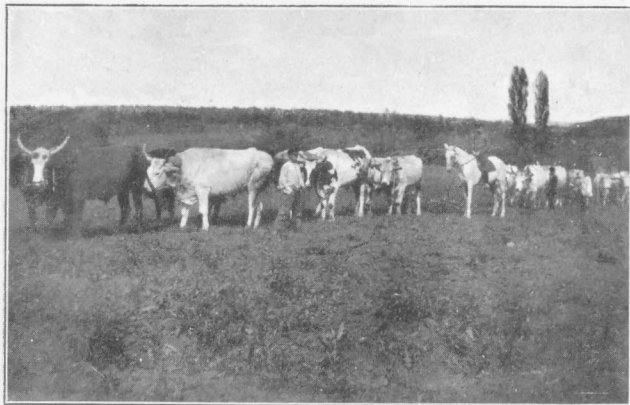
estetycznej przy zakładaniu siedzib dla siebie.

Do takich typowych siedzib wiejskich na Ukrainie należy posiadłość ziemską Jakimówka, obecnie własność Pawła Gnatowskiego, która, stanowiąc niegdyś integralną część Żywotowa, — dziś tylko rzeczułką Roską od niego jest oddzielona.

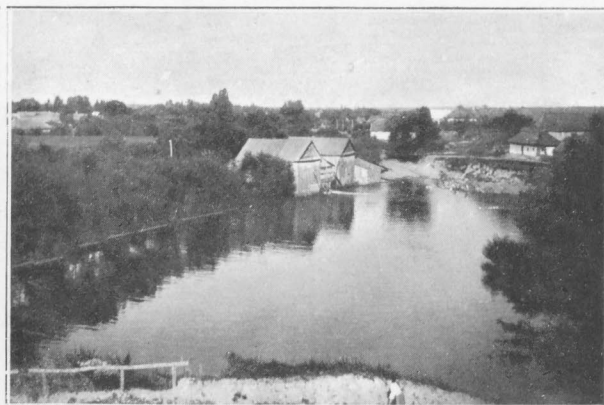


Aleja lipowa w ogrodzie Jakimówki, własność pp. Gnatowskich (zdjęcie amat. p. Wojnarowicza).

Majątność ta stoi jakby na przełomie pomiędzy starym a nowożytnymi wymogami, chociaż bowiem obecny jej właściciel spłacił daninę postępowi, przerobiwszy gorzelnię, urządziwszy wzorowo rektyfikację, młyny wodne i otworzywszy fabrykę dachówek, trwałych i poszukiwanych, — nie przeszkadza to mu jednak z pietyzmem przechowywać otrzy-



Orka w Jakimówce.



Śluza z widokiem na zabudowania dworskie.

(zdjęcie amat. p. Wojnarowicza).

maną w spuściznie tradycję tych, coraz rzadszych cech, o których wyżej wspominałem.

Założycielem tej siedziby był ś. p. Henryk Gnatowski, który przy zakładaniu gniazda rodzinnego, włożył w swą pracę tyle myśli twórczej, tyle wrodzonego smaku i tak gustownie ją przyozdobił, że miejscowość tę bezspornie zaliczyć wypada do najpiękniejszych w tamtych stronach.

Pierwszym tedy właścicielem Jakimówki, w jej obecnym wyglądzie, był jednocześnie i jej założyciel, ś. p. Henryk Gnatowski.

Była to postać prawdziwie patryarchalna, powszechnie szanowana i poważana,—to też do ucałowania rąk pana sędziego garnęło się, przez długi szereg lat jego życia kilka pokoleń, rodziny, bliższych i dalszych krewnych, oraz znajomych, co miało szczególnie miejsce w każdy dzień imienin sędziego amfitrjona.

Zjeżdżali się oni wszyscy na ten dzień uroczysty, ze stron nieraz dalekich, do Jakimówki, dokąd ich przyciągała nie tylko znana gościnność gospodarza, ale i rzadki wzór do naśladowania tyłu cnót obywatelskich i staropolskich, które zdobiły tę piękną postać.

A teraz kilka słów o zewnętrznej stronie tej miejscowości.

Przy wjeździe do Jakimówki, od razu zwraca na siebie uwagę droga, prowadząca do dworu, która odrębnie, od zwykłego szablonu, zarysowana, wije się w naturalnych załamaniach, pośród starannie pielęgnowanych róż i krzewów.

U kresu tego wjazdu znajduje się duży, z piętrowem przybudowaniem u boku, dwór.

Jest to budynek o bezpretensjonalnych i spokoj-

nych liniach architektonicznych, cały w festony zieleni spowity, a poszczególne części jego składają się na tak harmonijny zespół, że wygląda, jak wesoła gosposia, świątecznie na przyjęcie gości przybrana.

Do dworu dostrojone jest całe otoczenie.

Od tylnej jego strony, stara aleja lipowa, w coraz niższych kondygnacjach, prowadzi do przystani, nad jeziorem, którego horyzont zamyka w dalekiej perspektywie krzyż, wśród efektownie zgrupowanych, jako tło, włoskich topoli.

W tem uroczem ustroniu, pod zachód słońca, odbywają się wspaniałe koncerty ptactwa wodnego, które zadowolić mogą uszy najwybredniejszego nemroda.

Urządzenie wewnątrz domu odpowiada powadze i wdziękowi wyglądu zewnętrznego, pomiędzy zaś pamiątkami rodzinnymi na pierwszym miejscu postawić należy chlubną kolekcję oznak honorowych, jakoto: „virtuti militari“, „legji honorowej“ francuskiej, „gwiazdy napoleońskiej“ i wielu innych, należących ongi do dziada obecnego właściciela i jego imiennika, ś. p. Pawła Gnatowskiego.

Zdobył on te zaszczytne odznaczenia przy oblężeniu Saragossy, w wążozach Somossierey i na innych polach, walk rozlicznych, a przez swoją śmierć bohaterską pod Daszowem, pozostawił słuszny tytuł do chwały przyszłym pokoleniom swego rodu.

Pomijam dla braku miejsca wiele interesujących szczegółów całego obejścia, tej sympatycznej wiejskiej siedziby, które tworzą nader pociągającą całość.

Miłym wrażeniom mego tam pobytu, tę krótką wzmiankę poświęcam.

Z. R.



Z UROCZYCH WIEJSKICH USTRONI.



Dwór w Wienkowicach



fol. J. Brilskiej



Wólka z poznakiem.



Fot. Dąbskiej

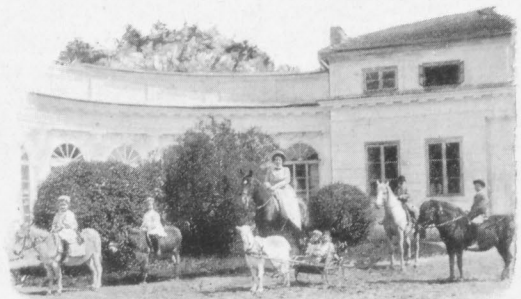


Łacheta do skoku



Karmienie drobiu

fol. A. Ruszkowskiej



Z Mamusia, na spacer

fol. M. Chetpowskiej



Młyn i stano w Truszyńce



Dwór w Filipkach

fol. Sobieszczyńskiego

Z SIERADZA KU KALISZOWI.

Przebywając drogę z Sieradza ku Kaliszowi. nie możemy oprzeć się uczuciu smętku, jaki nas zawsze ogarnia, gdy porównujemy jasne i pełne chwały momenty naszej przeszłości z szarą i pospolitą teraźniejszością. Gdybyż, choć jakie po tamtych czasach zostały pamiątki, pomniki, któreby świadczyły nam o nich; nic zgoła — „nec locus, ubi Troja fuit“, — gdyż te okruchy, które w drodze spotkać mamy, ani przybliżonego pojęcia nam o nich nie dadzą. Przeznaczenie dziejowe, „Vae victis“ — biada zwyciężonym, aż nadto często znalazły zastosowanie; obojętność swoich, ciemnota, a często-kroć i chciwość dopełniły dzieła zniszczenia.

Okolice cała falistymi, łagodnymi pagórkami pokryta, nie dawała żadnej zapory zagonom nieprzyjaciół: tatarzy, krzyżacy, szwedzi, szeroko tu rozpuszczali swe watahy. I tak, już w 1331 roku krzyżacy palą, niszczą, rabują Sieradzkie i w imię krzyża do jednego mordują Bogu ducha winnych, braci zakonnych św. Dominika. Pierwsze wojny szwedzkie pożogą i zniszczeniem zaznaczają się tutaj. W 1734 r. znów zwołane uniwersałem z roku 1732 rycerstwo, zgromadziwszy się na sejmik do Szadku, przyrzeka do

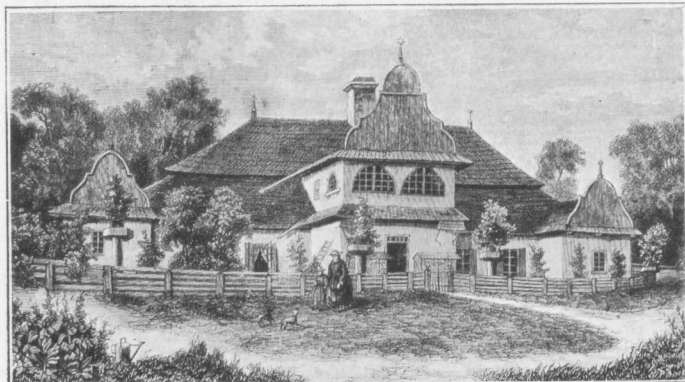
ostatniej kropli krwi bronić praw nieszczęśliwego króla. Srodze za tę wierność odpokutowało Sieradzkie: kilkadziesiąt wsi spalonych i zrabowanych, między nimi ze spotykanych na drodze ku Kaliszowi: Wąglczew, Równa, Głaniszew, Kostrzewice w popiół obrócone. W 1706 r. głoszają stare księgi przy tubądzkim kościele: „wojsko J. generała Reszelta przeszło przez pola nasze — wszystkie zboża byłem, wojskami, wniwecz obrócili“. Tegoż roku: „5. octobris wiele wojska nieprzeliczonego szło na Wartę, na Sieradz i wsie okoliczne, którzy kościoły rabowali, także domy, stodoły niszczyli, ludzi z sukien i koszul odzierali, bydło i konie z sobą zabierali i pędzili“.

Czyż ten obrazek w swej prostocie nie dokładnie maluje, gdzie się nasze pamiątki, nasze pomniki przeszłości podziać mogły? Ziemia-matka w swem łonie więcej nam przechowała

dowodów starej naszej kultury — wszędzie pełno okruchów urn i większych cmentarzysk, jak to dowodzą dość liczne prywatne zbiory ich w sieradzkiej ziemi. Licznie rozsiane i spotykane okruchy te, dowodzą gęstego od wieków zaludnienia tego zakątka. Ale odwróćmy oczy od smutnych wspomnień do rzeczywistości.



Zbiory p. Kaz. Walewskiego w Tubądzinie.



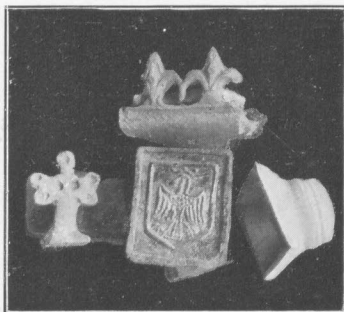
Dwór modrzewiowy w Smardzewie pod Sieradzem (rysował T. Nakielski w r. 1872).



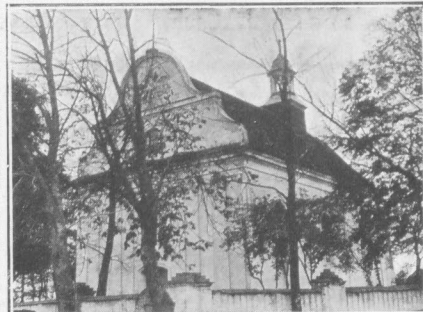
Kłocko. — Kościół (do parafji sieradzkiej zaliczony).



Charłupia Wielka.
Dwór Władysława Reymonta.



Stare kafle, wydobyte przy rozbieraniu
kopca zamkowego w Charłupii Wielkiej
(ze zbiorów I. Kobierzyckiego).



Kościół w Charłupii Wielkiej.

Mijając rogatki miejskie, gdzie schodzą się szosy kaliska i złoczewska, widzimy czerwieniejące się mury stacji kolei, która, jak magnes, pociągnęła ku sobie sporo już różnych budowli, co ożywiło pustą dotąd drogę podmiejską. W południowej stronie, w wiorstowej odległości od szosy widzimy dużą wieś Kłocko, należącą dawniej do starostwa sieradzkiego, a sprzedaną około połowy zeszłego wieku w ręce prywatne przez rząd, z maleńkim kościołem drewnianym, w którym raz do roku odprawia się nabożeństwo.

Mijamy położoną nad samą szosą Zapustę-Małą, Wielką Wólkę Dzierlińską i zbliżamy się do rzeczki Mesznej, nad którą malowniczo rozłożyła się stara wieś Smardzew, dawniej Smarzew. Dawna to siedziba — widzimy tu ślady grodziska, oblanego wodą, jest cmentarzysko, gdzie urny piękne się wydobywają. Do niedawna stał tutaj piękny dwór modrzewiowy z 1685 r. W lesie są cztery duże

mogiły, kryjące zwłoki biednych Francuzów, zmarłych tutaj 1812 r.

W dwuwiorstowej odległości od Smardzewa leży Charłupia Wielka. Stara też to siedziba — gniazdo Charłupskich, jednemu z nich Zygmunt August nadaje prawo myta na moście, t. zw. „Myja na | trakcie krakowskim z Torunia“, potem własność możnej rodziny Zapolskich, Walewskich. Obecnie składa się tylko z włókowego pełnego starodrzewiu parku i dużego dworu, w którym godna uwagi sala dawniej balowa z chórem dla muzyki. Jest tam także i kopiec, otoczony wodą, dawny zameczek maleńki, gdzie koloniści wykopują resztki cegły i gruzu.

Kościół schludny, murowany, przez Jana i Teresę Walewskich, postawiony 1795 r. na miejsce drewnianego, spalonego kościołka z XVI wieku, kryje w podziemiach groby tej rodziny. Rozległe lasy do tych dóbr dawnych należące, świecą piaskami i jałowcami tylko. Ciągnęły się dawniej



Nowy dwór w Smardzewie (zbud. około 1877 r.) Wł. pp. Kuczborskich.

lasy od samego Kalisza, tworząc pasmo nieprzerwane, aż hen, pod Częstochową: lasy kaliskie, brzezińskie, należące do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, królewskie: brąszewskie, dalej wrząckie, jasiońskie, kliczkowskie, chartupskie, brzezińskie, dęboliczkie, pyszkowskie, złoczewskie i t. d. Obecnie pozostały z nich tylko oazy nieznaczne.

Posuwając się ku zachodowi, spotykamy graniczącą z Kliczkowem Jasionę, będącą od połowy XVII w. w ręku Żaluskowskich. Śliczny typowy drewniany dworzec z 1728 r. z narożnymi basztami kaplicą domową, pełen pamiątek rodzinnych, w otoczeniu prastarych lip i wiązów przenosi nas w współczesne mu czasy. Dalej ku zachodowi napotykamy Wrzącę, Gruszczycę, Równę, które jedną dawniej stanowiły całość. W Wrzącej pięknie utrzymany stary park otacza schludną siedzibę i dowodzi starej kultury tej miejscowości. W Gruszczycach stary kościółek z XVI w., stawiany przez Gruszczyńskiego, a przestawiony w XVIII w. przez Grodzickiego, niczem godnem uwagi się nie odznacza. W Równiej, stare przedhistoryczne cmentarzysko, gdzie od czasu do czasu wydobywają się urny.

Ale wróćmy na szosę kaliską. Posuwając się ku Kaliszowi, natrafiamy na wieś Kościelną, Wróblew. Stara ta osada posiada parafję od XIV w., choć kościółek, obecny drewniany z 1804 r. pochodzi.

Z drugiej strony szosy od północy rozłożyły się w żyznej okolicy położone wioski: Kościerzyn, Sędzice, Koberzycko, Inczew, Tubądzin, Dziebédów, Kwasków, Smaszków, aż pod Błaszki.

Kościerzyn, jeden z najpiękniejszych majątków okolicy — piękne postępowe gospodarstwo, poparte przepyszną z natury glebą, daje świetne rezultaty — stanowi własność p. Stanisława Prądyńskiego.

Inczew, dawna siedziba Junczowskich w XIV w. ma dwie mogiły na łąkach, w jednej z nich po rozkopaniu znaleziono ostrogę szwedzką srebrną — mogiła to któregoś ze szwedów, którzy tu w XVIII w. przez siedm tygodni w większej ilości stali; i tak: w 1704 r. stała kompanja szwedów przez dni 30, jak mówi kronikarz tubądzki, kościelny.

Tubądzin, jedna ze starszych siedzib sieradzkiej

ziemi — prof. Piekosiński założycielem Tubądzina mianuje rycerza Tubąda I na początku XII wieku. Z akt archiwum gnieźnieńskiego zachowanych, wiadomym jest proces plebana Tubądzina — Stefana w 1426 r. z niejakim Brzozą o zaległe dziesięciny z Jaktorowa w Poznańskim. Wtedy już ów pleban dowiódł, że dziesięciny te od początku XIV w. wypłacane były kościołowi w Tubądzinie. Z innego dokumentu wiadomo, że w 1624 r. proboszczem wtedy był Szymon ze Słupcy, a właścicielem Jan Rudnicki hb. Lis. Ci Rudnicy, zowiący się jednocześnie Liskowskiemi z Rudnik, posiadają Tubądzin bez przerwy od początków XVIII w. Dawny kościółek z 1624 r. został dla starości w 1900 r. rozebrany i w tymże roku postawiono skromny murowany kościółek. Kilka pamiątek jest w nim z dawnych czasów. I tak: obraz na drzewie Matki Boskiej z 1627 r. dobrego pędzla, drugi, choć mocno zniszczony, także M. B. malowany al tempera, stara rzeźba M. B. z Dzieciątkiem z jednego kłosa drzewa polichromowana. Kilka starych ciekawych wotów — było ich znacznie więcej, lecz w 1831 r. na potrzeby narodowe z polecenia władz kościelnych wydane zostały; — chrzcielnica drewniana z 1709 r. oraz dzwony, z tych jeden bardzo piękny z 1628 r. z napisem po łacinie: „Krzysztof Liskowski z Rudnik, dziedzic Tubądzina, ofiarował Bogu na chwałę“. Prześliczny to odlew ze szlakiem renesansowym, — bogatym i herbem Lis po środku.



Teresa z Walewskich Walewska
(fundatorka kościoła w Chartupi Wielkiej).



Figura w Jasionie (fot. amat. p. Fl. Piekarskiego).



Dwór w Jasionnie, własność p. Er. Załuskowskiego.

Przy rozbieraniu ołtarzy w samym kościółku, za jednym z nich znaleziono resztki polichromji, którą kiedyś ściany całe pokryte były. Wyobrażała

jechało ono przez Tubądzin przez dni trzy y dniem y nocą siedm tysięcy, które, w Stawie stanęło“. 5-go października tegoż roku: „Wojsko króla J. M, t. j. tatarzy, kałmucy, kozacy, sasi, polacy y tak wiele wojska nieprzeliczonego szło na Wartę, na Sieradz, na Tubądzin y na wszystkie wsie okoliczne, którzy kościoły rabowali także domy, koszary, stodoły. Łapali, rewidowali, kłódki i zamki odbijali, ludzi z sukien, z koszul y czapek odzierali y z butów wyzuwali, tak ślachtę, jako y ubogich ludzi, konie, bydło gwałtem w domach i w polach owce zabierali etc.“ Rok 1707. „Tu podjazdy moskiewskie, kałmuckie, kozackie po półtora y po dwa tysiące przechodziły przez Sieradz y po bliskie



Dwór we Wrzącej, własność p. Tadeusza Grodzkiego.

ona św. Stanisława biskupa, otoczonego wieńcami kwiatów i owoców. Dwór stary z połowy XVIII w.; parter ma jeszcze starszy — częściowo sklepiony; mnóstwo odwiecznych drzew, a szczególnie lip, z których piękna aleja wiedzie do Inczewa—zasłaniają ten zakątek przed okiem podróżnych.

Wojny szwedzkie, a szczególnie druga, ciężko zaznaczyły się tej wiosce i tak: pod 1705 r. pisze nasz kronikarz: „Szwedzi w Sieradzu leżą, a prowianty ciężkie z Tubądzina biorą“, dalej „executia szwedzka zajęła dwór hesterną die, qui fuit 9 Martii hora meridiana, cała chorągiew“.

Znów 1706 r. 2 lipca: „wojsko szwedzkie jen. Reszelta przeszło przez pola tubądzkie, wszystko zniszczywszy,

wsie dnia 8, a potem 13 Martii. A wszystkie wojska na Uniejów, na Dobre, na Koło szły pod Poznań“. W 1715 r. „Moskale przybyli na wesele do Jenczo-



Dwór w Równiej (postawiony przez Br. Grodzkiego). Własność p. Zakrzewskiego.

wa, z Jenczowa do Tubądzina, którzy mię potłukli przy moich drzwiach, tabory przy mojej stodole postawili y zboże dla koni, których było więcej niżeli 40, zabrali“, pisze ks. Pajęcki: „Tabory się ruszyły, w nocy in wigilia s. Andrei, a drugiej nocy zapalili szkołę, w której mieszka Marcin poddany pański“. Pod rokiem 1805 notuje inny ksiądz, Wieniewicz, drożyznę straszłą: żyta wiertel 26 złp., pszenicy 28 złp., grochu 27 złp., kartofle, czyli perki 12 złp. „Lud ubogi, chodząc po targu, wołał miłosierdzia nad sobą, pisze w końcu notatki. W tym roku przez Uniejów, Dobre, Koźminek, Sieradz, Błaszki, Kalisz, Kempno, Ostrów szło wojsko rosyjskie w liczbie 15000 pod Wrocław. Na początku lutego 1808 r. wracali rosjanie napowrót z kompanji od Szląska. Liczono ich 60000. Jedni szli na Koźminek i tak dalej i 15-go stali w Tubądzinie, przez 2 dni, u mnie pułkownik ks. Urakow — 17-go stała jedna kompania w Tubądzinie, druga w Inczewie, trzecia w Gołuchach,

Miradzy, Łabędziach. Nasi ludzie bardzo wiele ucierpieli, bo ich wypędzano ustawicznie na tę złą drogę po mąkę, zboże, chorych, tak dalece, że konie zupełnie poniszczyli.

W listopadzie 1808 r. wojska francuzów weszły do Polski; dla nich naznaczono dominiom i gromadom dostawienie mąki, żyta, wołów, wódki, owsa, siana — z Tubądzina kazano to wszystko wieźć, aż pod Sompolno. — Oto co mówią zapiski stare o losach Tubądzina. Zaznaczyć należy legendę ludową o powstaniu nazw wsi: Inczewa, Tubądzina, Dziebédowa: Jakiś ksiądz wybrał się z dworzany na polowanie; stanąwszy na wzgórzach, rozdzielających te trzy wioski, zapytał: „Gdzie będziemy polować?“ — na to dowodzący wyprawą łowiecką, wskazując dolinę, w której leży Tubądzin, odrzekł: „Tu będziemy polować, bo tam to inne (insze) miejsce“, co wytworzyć miało nazwę Dziebédowa, Tubądzina i Inczewa.

KAZIMIERZ WALEWSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MELODJE NOCY MAJOWYCH.

KOCHANEK:

Czemu przysłaś? Z obłocznych przywionęłaś stref?
Bo szmer twych słyszę kroków i cichy twój śpiew,
Co się w komnacie mrocznej rozlega tajemniczo?..
Czemu przysłaś z obłądną pieśnią maja zwodniczą?..

W mgłę się rozplyń srebrzystą — w szum rozwiej się
drzew!

Uchodź z krużg ust swoich czerwoną, jak krew!
I pieśń duszę — ogrodu edeńskiego słodyczą,
Cichość żrenic obracaj ku niebiańskim obliczom!..

Nie tu, cieniu, iść tobie! Nie tu — w pomierzch — w kir!
A w rozświtły różowe — w otchłaniowy wir,
Płynąc z białych obłoków lotnym rojem niebianów!..

Nie tu dźwigać męczeński tobie życia krzyż!
Uchodź! Głos mój błagalny skroś tych mroków słysz!
Skroś wichrowych burz moich — wiecznych duszy
peanów!

GŁOS Z ODDALI:

W śpiewie srebrnych arf nocy, — śród majowych tchnień,
Ty słyszysz, jako sunę za tobą, jak cień:
Bo w ogrodach twej duszy inny pieścisz kwiat biały,
Bo w ogrodach twej duszy szumią krwawych rzek szały!..

Białą jestem — mam duszę, pełną rajszych pień,
Choć ty piłeś nektarów upojenie zeń —
A dziś gorzkich łez kielich niosę w dłoni omdleją,
żeś zbryzgał kiwią żywą czystych marzeń kryształy!..

Przeto słyszysz mych kroków pokutniczych szmer,
Kiedy płynę — mgła sina — z lazurowych sfer
I chcę ustom łaknącym być srebrzystym ruczajem!

Jeno wejrzyj znów na mnie i na skronie złóż
Pocałunek, dyszący wonią białych róż!
Jeno bądź mi wskrzeszonym, pogrzebionych snów

majem!..

KOCHANEK:

W lazurową dalekość — tam po wieków wiek —
Nie uleciałeś, cieniu, bom cię w sercu strzegł!
I dziś sfruwasz, jak płomień, co piór złotem połyska,
Gdy ugasam, jak zorza, u niebiosów ogniska!

Ostań tedy! Nie uchodź nad letejski brzeg!
Uznojonemu podaj dłoń białą, jak śnieg!
I z żałobnego mroku prowadź go w uroczyska,
Pełne cudów, gdzie dusza będzie aniołów blizka!..

Dechu twego mi trzeba, słodyczy twych rąk!
Choć liliowe mnie dłonie oplatają wkrąg
I puhary ust wonnych poją szalem, jak winem!..

Więc ty, córo niebiosów, z modrych szlaków zstąp!
Boską oczu pochodnią rozświeć nocy głąb!
Bądź zmroczonym snom moim światłem duszy jedynem!

GŁOS Z ODDALI:

Ja — w seraficznej bieli — w wianku z czarnych róż,
Ja — urzeczona boską szczęśliwością dusz —
Stąpam cicha w twój pomrok, w kir otulam swe lico,
Bo się róże ust twoich, wonią innych róż sycą!..

W siność idę twej doli — w noce, pełne głusz!
Jeno śpiewowi serca całęm sercem wtórz!..
Ucałuj oczy moje, zrószone w łzach tęsknicą —
I wędruj ze mną — z wieczną otchłanią wędrownicą!

Pójdziemy witać złotych archaniołów lot —
Bo tu, jeno cię węzów opierścienia splot!
Bo tu gorzkość w pierś sączysz i jad z uciech kielicha!

A jam w tobie, śpiew wiosny, ja — majowy dech,
Zbudzę ze snu, — z letargu tysięcy cudnych ech —
I zerwanych strun akord, co w twej piersi łka zcicha!

WŁADYSŁAW ZAŁEWSKI.



Willa Linksma.

DRUSKIENIKI.

Cudowny zakątek ziemi Litewskiej, w którego lasach, aż hen po Merez królowie polscy spędzali wczasy wśród łowów na grubego zwierza. Miasteczko z zachodniej strony opasał swoimi skręty Niemen, zasilany po drodze dopływem Rotniczanki, która swe ujście ma w parku zdrojowym.

Dziwnej piękności rzeka — ten Niemen, którego fala, wężowata a kapryśna pieści pod Druskienikami piaski Litewskie i odbija w swej toni konary sosen nadbrzeżnych.

W samych Druskienikach i okolicy pełno pamiętek drogich sercu polskiemu.

W pobliskiej wiosce Rotnicy — grób Czeczotta, druha Mickiewicza, z podniosłym napisem, który tu przytaczam:

Młodość poświęcił pracy dla nauki cnoty,
Wiek mężki przetrwał mężnie w próbach
i cierpieniu,
Miłość Boga i bliźnich — treść jego istoty,
Dalszy ciąg życia jego — drogą ku zbawieniu.
Imię jego w tych stronach jest wiecznie
związane,
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem
Zanem,
Kto wiesz, czem oni byli — schył skroń
przed tym głazem,
Pomyśl, westchnij i módl się za wszyst-
kich trzech razem.

Pod samem miastem ruiny zamku Liszkowskiego, przedhistoryczna baszta olbrzymów i w. in.

Natura hojną ręką uposażyła ten zakątek Litwy, zarówno w piękności przyrodzone i malownicze widoki, jak i w środki ku poprawie

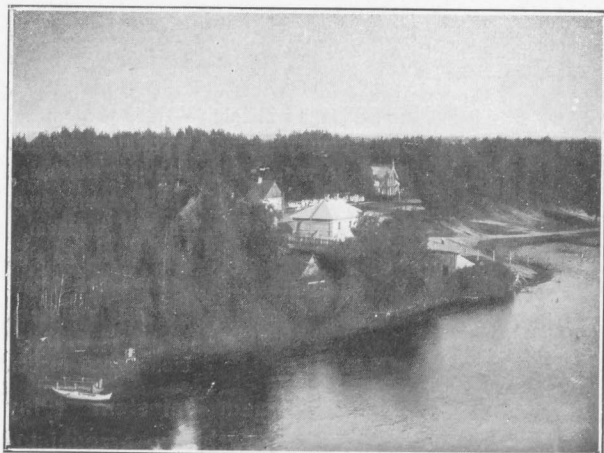
zdrowia służące. Liczne zdrowiodajne źródła, znane już były za czasów króla Stanisława Augusta.

Zasługą miejscowego obywatelstwa jest, iż stworzyło tu wzorowy zakład leczniczy, podniosło przemysł i handel. Obecnie w cichem do niedawna miasteczku litewkiem wre i kipi gorączkowa działalność, warczą koła maszyn zakładu kąpielowego, a telefony, kanalizacja, elektryczność i wogóle nowsze urządzenia techniczne oddano tu na usługi licznie zjeżdżających chorych.

Miejscowość ta jest dzisiaj ośrodkiem kulturalnym okolicy, posiada obfitą i zasobną w treść literaturę naukową. Istnieje cały szereg wydawnictw, traktujących stronę leczniczą, opiszowo - etnogra-



Łazienki.



Niemen.

ficzną i geologiczną Druskienik. Spory poczet wybitnych umysłów polskich poświęcił swą pracę opisowi i badaniom tej miejscowości. Kraszewski przed pół wiekiem, podczas pobytu na kuracji w Druskienikach, zachwycony własnościami leczniczymi i przyrodą tej miejscowości uwiecznił piórem i ołówkiem to zdrojowisko, poświęcając mu specjalny opisowy traktat, ozdobiony własnoręcznym krajobrazem Druskienik.

Książka ta dzisiaj należy do białych kruków.

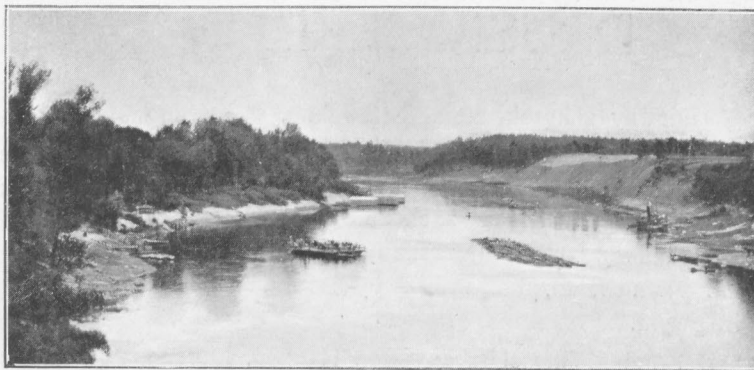
Glogier badał także wykopaliska Druskienickie. Florę zaś tej miejscowości

ści, opisał ks. Massalski w pamiętniku fizyograficznym.

Po bliższe szczegóły, dotyczące strony naukowej i literatury odsyłamy czytelnika do monografii o Druskienikach, pióra St. Grzegorzewskiego. Książka ta ozdobiona licznymi ilustracjami wyszła staraniem i sumptem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Obecnie — jak słyszeliśmy — dzięki usiłowaniom ludzi dobrej woli, ma powstać w Druskienikach skromny, na początek, zbiorek przedmiotów, dotyczących języka, zwyczajów, podań i wierzeń ludu miejscowego. Należy przyklasnąć pięknej inicjatywie i życzyć, aby zbiorek ten jaknajprędzej urósł do rozmiarów muzeum etnograficznego Litwy.

S. K.



Brzegi jeziora „Druskonie.“



Z CYKLU:

KOBIETY NAPOLEONA I.

(Eugenja Clary).

*Jak kwiat wiosenny była świeża i radosna,
Oczy tęskne, naiwne, uśmiech dziwnie słodki,
Lubiła pieśni, wiosnę, róże i stokrotki,
Ballady romantyczne, hafty wzięte w krosna.*

*Kochała bohatera — — Idylla miłosna!
Dała mu chwile jasne, lubił ten wdzięk kotki
Całował jej warkocz, śnił tuląc stan wiotki...
Sentyment sielankowy, jak upojna wiosna...*

*Odjechał. — — Poznał inną. — — Tryumfalne wieńce
Sława kładła na jego bohaterskie skronie,
Ona pisze, zaklina, łamie w smutku dłonie —*

*Próżno prosi. — — Zapomniał. — — Więc zbladły rumieńce.
Zimną przyjaźń przyjmuje, czał się, a skrycie
Nienawidzi, spiskuje. — — — Kocha całe życie!*

Wera Skórkowska,

JAK KWIATY...

*Jak kwiaty ścięte szronu powłoką mrą,
Jak liść jesienny krwawą pokrywa się rdzą,
Jak szczęście mija, echem przebrzmiewa pieśń,
Jak życie ludzkie grobu okrywa pleśń,
Jak krew przestaje krążyć powoli wśród żył,
Jak zapomnienia człowieka okrywa pył,
Jak miłość kona, jak płynie życia dzień —
Tak ludzkie czyny powoli idą*

w cień —

Alina.

Karczownik hydrauliczny „Australja”.



Początek wyciągania.

Walne zgromadzenie Towarzystwa leśnego galicyjskiego w październiku roku ubiegłego, na wycieczce do lwowskich lasów w Brzuchowicach pod Lwowem, przyglądało się demonstracji nowej maszyny do karczowania pni, ścietych przez użycie nacisku hydraulicznego, działającego jako wyciągu. Odnośnie do tego, profesor wyższej szkoły leśniczej we Lwowie, St. Sokołowski, zamieścił bardzo interesujący artykuł o tym nowym polskim wynalazku w listopadowym zaszycie „Sylwana“, miesięczniku wychodzącym we Lwowie. Wynalazca, Prof. Dr. K. Malsburg z Dublan, który podczas długoletniego pobytu swego w Australji, miał wiele do czynienia z karczowaniem Scrub'ów, czyli puszczy tamtejszych, przekonał się dowodnie o niezdarności dotychczasowych przyrządów karczujących i wpadł na myśl zastosowania wyciągu hydraulicznego. Idea została urzeczywistniona w postaci maszyny, nazwanej „Australja“, doskonale skonstruowanej przez Inż. T. Świeżawskiego. Jak widzimy z rysunku, budowa jej jest nadzwyczaj prosta: cylinder z leżny stalowej wspiera się na trzech skośnych dębowych nogach w 2-metrowej wysokości nad ziemią; pompka hydrauliczna, przytwierdzona do jednej z nóg na dole, tłoczy rurką wodę do cylindra pod tłok i za pomocą zawieszonych ram, na tłoku w górze spoczywających i podwójnego haka (pod cylindrem) z łańcuchami i szponami — podnosi pień, zaczepiony o dwa boczne korzenie. Pracę wykonywają dwaj ludzie, poruszający dźwignią pompki i wytwarzający siłę do 24.000 kg. w normalnych warunkach, zaś do

38.000 kg. maksymalnie. Tłok wysuwa się jednorazowo na 40 cm. do góry, pień zaś dowolnie wysoko przez nakładanie łańcuchów lub zamków łańcuchowych, połączonych ze szponami, na coraz to wyższe ogniwa łańcucha (w Brzuchowicach wyciągnięto jeden pień sosnowy $2\frac{3}{4}$ m. z ziemi). Wody (w razie obawy mrozu, spirytusu denaturowanego lub gliceryny) potrzeba tylko 5 litrów, przytem spuszcza się zawsze tę samą wodę do rezerwoaru pompki przy opuszczaniu tłoka za pomocą odkręcenia kurka. Dla zapobieżenia grzeźnięcia nóg maszyny w ziemię podczas roboty podkłada się pod każdą nogę krótkie deski dębowe; podczas zaś początkowego i największego wysiłku maszyny spina się nogi naokoło linką stalową, bardzo prędko naciąganą, mutrą o podwójnym gwincie, łatwą do odejmowania. Po dokonaniem karczunku nie pozostają jamy w terenie, bo w tworzący się dół pod pniem obrysuje się ziemię z pomiędzy korzeni w czasie wyciągania. Po pracy zdejmuje się łączniki pionowe z górnej trawersy z hakiem, łańcuchami i szponami, ustawia się maszynę przy pomocy drewnianej dźwigni na kółka i popycha się do następnego pnia: kółka są zwrotne i na którekolwiek z nich zakłada się dyszlik do sterowania, dwa drugie zaś ustala się w płaszczyźnie prowadzącego kółka; operuje tem wszystkim prędko i składnie dwóch ludzi. Karczunek jednego pnia około $\frac{1}{2}$ — $\frac{3}{4}$ -metrowej (lub więcej) średnicy trwa kwadrans do pół godziny, tak, że dziennie maszyną „Australja“ można wykarczować 20 do 25 pni i postawić



Pień jeszcze niezupełnie wyciągnięty.

1 sąg drzewa karpinowego, przy obsłudze trzema ludźmi; (człowiek trzeci, który może być pomocny do przesuwania maszyny, rąbie wykarczowane pnie i ustawia sągi). Cena katalogowa hydraulicznego karczownika, którego sprzedaż objął „Syndykat rolniczy“ w Krakowie, jest kor. 1600, czyli właścicielowi mniej-więcej tylko 18 morgów (9 hektarów) zrębu, wypłaca się maszyna zupełnie samą tylko wartością opałowā wydobytych pniaków, wykonując tę pracę 4 razy szybciej niż robotą ręczną. Pniaki sosnowe jednak służyć mogą również do wyrobu terpentyny w mielerzach lub retortach jeszcze z większym zyskiem bezwzględny, cienie zaś korzenie sosnowe są najidealniejszym materiałem do wyrobów koszykarskich. Wiemy też dobrze, jakie znaczenie ma karczowanie pniaków przy tępieniu szeliniaka i innych ryjkowców, gnieźdzących się i rozmnażających w korzeniach i pniakach, pozostawionych na zrębie. Orka zaś karczunku na pole, lub pod nową kulturę leśną, nie przedstawia teraz żadnych trudności, bo wraz z usunięciem pni, zostaje oczyszczony grunt z wszelkich tak powierzchniowych, jak

i głębszych korzeni; spulchnia się przytem glebę, bez wydostawania na wierzch martwicy. — Należy jeszcze wspomnieć, że nie potrzeba przy pracy tym karczownikiem specjalnej umiejętności ludzi, bo obsługa jest prosta i łatwa, i po za zmianą skórek uszczelniających tłoki w pompce i cylindrze, kosztem paru koron raz do roku, niema się zgoła co psuć w tej maszynie. Podczas pracy, zupełnie pewnej i spokojnej, niema dla otoczenia żadnego niebezpieczeństwa, gdyż niema się tu wcale do czynienia z substancjami prężliwymi, jak para lub powietrze. Naoczni zaś świadkowie publicznych demonstracji w Brzechowicach byli wprost zdumieni efektem pracy karczownika „Australja“ i notorycznie wierzyć nie chcieli własnym oczom, żeby ta niewielka i tak niewinnie wyglądająca maszyna wykonywała ją z tak olbrzymią siłą i z taką sprawnością. Leśnicy, którzy, czy to w braku rąk ludzkich, czy dla prędkości, musieli używać, a raczej próbować innych, dotychczasowych urządzeń

i maszyn karczujących, byli olśnieni „Australją“, stawiając ją bez porównania wyżej od wszelkich wind, kieratów, „djabłów leśnych“ i t. p. maszyn karczowniczych, które tyle zawiodły oczekiwań. — To też Prof. Sokołowski kończy swój artykuł następującą uwagą: „Oddawna i z wielu stron otrzymuję zapytania o najlepszą i praktyczną maszynę do karczowania; z pewną przykrością zmuszony byłem odsyłać pytających do firm zagranicznych i proponować im zakupno maszyn drogiech a niesprawnych. Obecnie, z niemałym zadowoleniem, stwierdzić mogę, że zyskaliśmy w ojczyźnie jeden praktyczny wynalazek więcej, któremu z całego

serca życzymy powodzenia na naszej ziemi“ i

Z naszej strony do kompetentnych słów Profes. Sokołowskiego czujemy się w możności dodać — że z jeszcze większym zadowoleniem stwierdzamy, że wynalazek ten, demonstrowany dotychczas w Galicji, obecnie już przestanie być u nas nieznanym. Dowiadujemy się bowiem, że znana u nas zaszczytnie ze swej ruchliwości i umiejętności wyławiania z pomiędzy tysięcy wynalazków i tak zwanych nowości, rzeczy rzeczy-



Pień zupełnie wyciągnięty.

wicie praktycznych, firma „Alfred Grodzki“, objęła reprezentację karczownika tego na Królestwo, Litwę i Cesarstwo i sam ten fakt jest już do pewnego stopnia gwarancją, że w bardzo krótkim przeciągu czasu lasy nasze będą świadkami cichej i spokojnej — ale pożytecznej pracy tych maszyn hydraulicznych.

Narzędzie to szczególne zastosowanie powinno by znaleźć w tych właśnie okolicach kraju, gdzie karczunek leśny nie był dotąd uważany za konieczność gospodarczą. Na Litwie, Białej Rusi, na Polesiu i Wołyniu dużo jest jeszcze takich wielkich przestrzeni, których właściciele po wyрубie nie przedsięwzięją żadnych starań bądź to w kierunku ponownego zadrzewienia, bądź też w celu obrócenia tej przestrzeni pod uprawę. Przeszkodą jest tu trudność i powolność karczunku, karczownik „Australja“ rozstrzyga tę kwestję stanowczo. Przy jego pomocy oczyszczenie poręby z pni w ciągu jednego roku jest rzeczą bardzo łatwą.

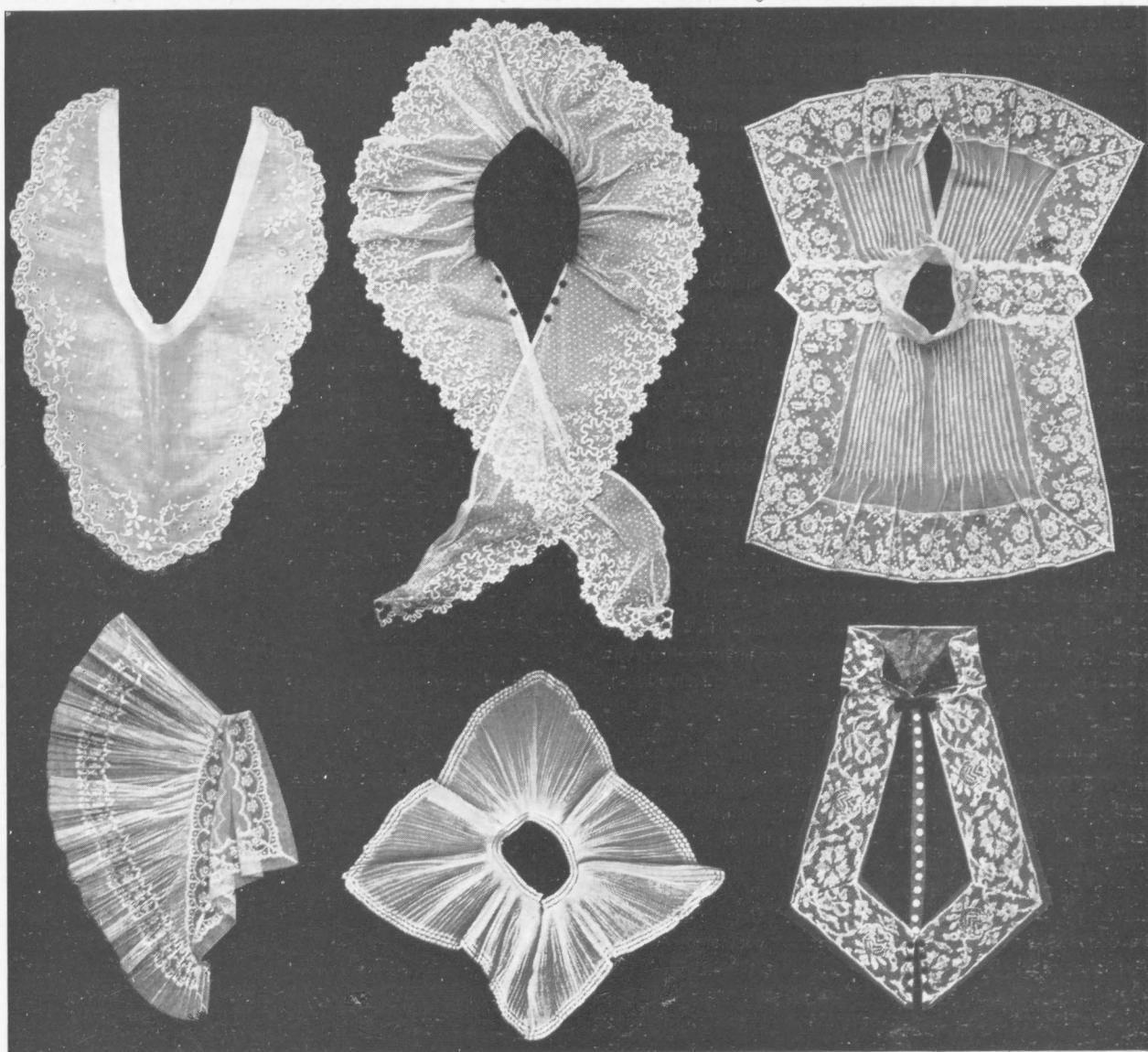
MODA.

Doczekaliśmy się najpiękniejszej pory roku, majowe słońko zabłysło nad głowami naszymi!.. Uroczy Maj — miesiąc słowików i zakochanych — cudna idylla zbudzonej do życia przyrody! Witaj nam śliczny Maju... nie żałuj nam — prosimy słońca, — zieleni, — kwiatów — obdarz nas „świętem wiosny“, a okażemy ci wdzięczność naszą, strojąc się do ciebie w najpiękniejsze szaty — i uśmiechając się radośnie do czaru, jakim otaczasz ziemię!..

Pół sezon wiosenny przeszedł jak zwykle u nas niepo-

W stolicy świata i mody, pewna frakcja kobiet, oczywiście mogących sobie na tego rodzaju kaprysy pozwalać, wytworzyła specjalne mody na miesiąc Maj „les modes de Mai“. Są to kapelusze, płaszcze, kostjomy i różne toaletowe przybory, noszone tylko przez jeden miesiąc, a z dniem 1 Czerwca — już nawet i spojrzeć na to wszystko niewolno. Jest to bajecznie luksusowy kaprys, o którym przeciętnie zamożne, a nie ekscentryczne panie i pomyśleć by nawet nie chciały.

Godłem wiosenno-letniego sezonu będzie *haft* i *koronka*.



Najnowsze żaboty i kołnierze z magazynu Józefa Rozmanita, ulica Czysta № 8.

strzeżenie, chłody kwietniowe wstrzymały zmianę toalet spacerowych, wyglądałyśmy ciągle — prawie po zimowemu. Teraz dopiero następuje przeistoczenie zupełne, zniknęły futra i ciężkie kostjomy, czasem ukaże się jeszcze jakaś elegancka etola zarzucona na ramiona, z obawy chłodniejszego wieczoru — ale już królują wszechładnie kostjomy *tailleur*, czysto wiosenne, oraz kapelusze z włosia, z gazy, z jedwabów a nawet już słomiane, choć te ostatnie, zwłaszcza jasne — powinny się nosić dopiero w Czerwcu, przy sukniach letnich.

Hafty na materjach, na batystach, różnokolorowe i białe *ton sur ton*, angielskie i francuskie, całe fale koronek pod postacią najrozlicniejszych żabotów, narzutów i kołnierzy w różnorodnych stylach, tak ślicznie dopełniających choćby skromniutki wiosenny kostjum, i nadających toalecie *un cachet d'élégance*, tem wszystkim zarzucony jest Paryż. Powstały tam specjalne pracownie haftów, żabotów i kołnierzy koronkowych i nastarczyć nie mogą wszechświatowym zamówieniom modeli, które jeszcze nigdy nie odznaczały się takim

bogactwem pomysłów jak w tym sezonie i tak ważnej w tualetcie nie odgrywały roli.

Choć nie wątpiałam, że w Warszawie znajdzie się to wszystko równie piękne jak w Paryżu, chciałam się jednak przekonać, że tak jest w istocie, a znając źródła najlepsze w każdym tualetowym kierunku, poszłam obejrzeć te wszystkie śliczności w specjalnym a wytwornie eleganckim magazynie pana *Józefa Rozmanita*. Otóż w istocie, ujrzałam tam cały haftowany i koronkowy — żabotowy i kołnierzykowy Paryż, a raczej jego filję. Czego tam niema!.. Skoro się tylko jakaś nowość w tym kierunku pojawi w Paryżu, przysyłana zostaje panu Rozmanitowi i jest identycznie kopjowana w jego własnej pracowni z najwytworniejszych materiałów, to jest haftów, koronek i batystów. Głównie uwagę moją zwróciły kołnierze tak zwane *Directoire* i *Robespierre*, odpowiadające obecnym stylowym tualetom. Do letniej batystowej zahaftowanej sukienki w stylu Dyrektorjatu — taki *Directoire* kołnierz, to już prawdziwa wysoka elegancja... Samo okolenie szyi jest oczywiście tradycyjnie *czarne* atlasowe nie schodzące się z przodu — i od tego czarnego okolenia, spadają po obu stronach i z tyłu, stylowo ułożone koronki. Jest to śliczne. Po zatem kołnierze tak zwane *bavettes*, całe zarzutki w rodzaju *Marie Antoinette* (*modernisé*) półżaboty, kokardy i t. d. Do tego należy dodać cały olbrzymi dział bluzek angielskich i strojnych, ozdobionych koronkami i motywami inkrustowanymi na białym, na wóalach gładkich i haftowanych... Do owego tak modnego teraz „Dyrektorjatu“, konieczne gazowe pończoszki czarne i kolorowe, zastosowywane obecnie wyrokiem mody, do koloru sukni i bucika, do tych pajęczych pończoszek, tak bardzo praktyczne stopki i półstopki chroniące pończoszki od przedzierania się; woalki, szale oraz przewspaniałe *ridicules* czyli woreczki czysto stylowe ze złotej lamy i bogatych haftów i t. d. i t. d., bo możnaby istotnie pół dnia przepędzić w tym *koronkowo-haftowanym przybytku*, oglądając ciągle coś nowego i coraz ładniejszego. Pan Rozmanit umie śledzić modę i zna gusty swej pięknej klienteli.

Kostjumy nasze spacerowe, — oczywiście te bardzo dobre i szykownie zrobione przez pierwszorzędnych krawców, ulegają zwolna przeistoczeniu. I tak, w tyle sukni pojawiają się płaskie a dosyć głębokie fałdy po dwie lub trzy z każdej strony, łącząc się z tyłu w całość, do takich spódnic zlekką odślanających stopę, żakiet z baskiną ściśle do figury dopasowaną, z dużymi wyłogami, dosyć nisko spadającymi i marynarskim z tyłu kołnierzem; klapy i kołnierz nałożone jakąś odmienną od koloru sukni materją, a pokryte grubą irlandzką koronką, ciągle bardzo modną. Noszą jednak jeszcze ciągle i gładziutkie, wążiutkie spódnice i krótkie, bardzo opięte żakieciki. Uważam, że ten krój nadaje się głównie dla osób młodych i szczupłych. Starsza wiekiem i kształtami osoba, nie ładnie — nie odpowiednio w takich powijkach wygląda.

Kapelusze są już bardzo oryginalne a sezon letni gotuje nam jeszcze różne kapeluszone niespodzianki. Do najmodniejszych należą tak zwane *casques*, czyli rodzaj kasków o prawie spiczastem zakończeniu, ściśle obejmujące głowę i kryjące całe uczesanie prócz grzywki nad czołem. To nie wyklucza kapeluszy olbrzymich obwodami, tak zwanych *plateaux* (tace), o małych płaskich główkach. Kaski ubierają ogromnymi *aigrettes* a tace całymi ogrodami kwiatów. Zestawienie na kapeluszach kolorów białego z czarnym jest stale bardzo modne. Ostatni słowem kapeluszonej elegancji są pióra, tak zwane *paradis*, płasko na dużym rondzie umieszczone.

Kończę dzisiejszą „Modę“ podzieleniem się z Szanownymi Czytelniczkami wiadomością dotyczącą tualet wyścigowych,

z paryskiego toru w *Auteuil*. Otóż pierwszy wyścigowy tam seans, początkuje w Paryżu modę wiosenną. W sezonie obecnym ukazały się panie ze świata w łożach i na trybunach, w strojach najrozmaitszych. Od skromnych *tailleur* — do najwykwintniejszych *robes habiliées* złożonych z atlasu, koronek i bajecznych płaszczy inkrustowanych koronkami, od skromnych Windhorstów do paradyzów, egret i piór, na zręcznych postaciach i wdzięcznych główkach paryżanek, pojawiło się to wszystko, i wszystko było ładne — to znaczy, że Warszawa, która chętnie wzoruje się na Paryżu ma również pełną swobodę ubierania się na wyścigi wiosenne według gustu i upodobań, co jest bez kwestji i mądre i przyjemne.

MARCELE.

≡ NASZE DWORY ≡

(Album „Wsi Ilustrowanej“).

Kilkadziesiąt plansz z wszystkich dzielnic. Oprawa skórzana. Do nabycia w redakcji i we wszystkich księgarniach.

Cena rb. 2, z przesył. rb. 2,25.

POŻYCZKI NA MEBLE udziela
TOW. AKC. **A. Wróblewski i S-ka, Trębacka 13.**



WIEŚ I TEATR.

Utarło się wśród szablonu różnych na poczekaniu tworzonych pojęć także i to, że teatr jest czysto miejskim dorobkiem, że interesować się nim na prawdę mogą tylko mieszkańcy miasta, że wieś w sprawach sztuki wogóle, a teatru w szczególności niema żadnej racji zabierać głosu.

Pojęcie to najzupełniej niesłuszne i fałszywe.

Z natury rzeczy miasta musiały się stać ośrodkiem zamierzeń i działań artystycznych. Sztuka wszelka znajdowała zawsze w miejskich murach techniczny materiał do swego rozwoju, łatwość komunikowania się z większymi masami ludzi, wreszcie ten naturalny przytułek w postaci kultowi swemu poświęconych stowarzyszeń, instytucji i gmachów, które stwarzać na wsi byłoby niepodobieństwem. Ale naturalny układ tych stosunków nie może nigdy ograniczać naturalnego prawa mieszkańców wsi i wogóle prowincji do korzystania z dobrodziejstw sztuki.

Jeżeli zastanowimy się np. specjalnie nad stosunkiem mieszkańców wsi do teatru, to przyznać trzeba, że dostarczają oni temu teatrowi najpoważniejszych może (i najcierpliwszych niekiedy) słuchaczy i widzów, że interesują się tym teatrem daleko więcej na serjo, niż mieszkańcy miast, że wreszcie suma wrażeń dostarczanych przez teatr widzowi daleko silniej i głębiej utrwała się w duszy ich, niż w stępionej i zblazowanej, idącej zresztą co dnia za inną nowością wyobraźni mieszczuchów.

Ten ostatni wzgląd jest może najważniejszym, on decyduje o prawie wsi zabierania głosu w sprawach teatru.

Teatr uczy, nietylko bawi.

Pisząc do i dla mieszkańców wsi, mogę to zupełnie śmiało powiedzieć.

Bo mieszczuch, zwłaszcza taki, którego głównym *pied à terre* jest ta lub inna narożna kawiarnia — wysmiałoby mnie za takie „przedpotopowe“ pojęcie.

Dla niego teatr jest — tematem do rozmowy; polem do popisania się mądrością zaczerpniętą z cygańsko-komunalnych, artystyczno-banalnych rozmów, sposobnością do taniego zadowolenia podniecanych kawą i alkoholem zmysłów samym widowiskiem wystawianych na pokaz w operetce i farsie *dessous* kobiecych, na zaznajomienie się z którymi nie pozwala mu kieszeń...

Zawarcie tej znajomości bywa dlań niedostępnym szczytem atrakcji teatralnej, a ponieważ zdarza się, że ten i ów młodszy i zamożniejszy mieszkaniec wsi miewa fantazje wdzierania się na te

szczyty i... stać go przytem na koszta tej wędrówki, — więc rodzi się na tym podkładzie zupełnie naturalny antagonizm między miastem a wsią. Dziś podstawa do tego antogonizmu już się ogromnie zdemokratyzowała. Niepotrzeba aż na wsi szukać „mecenasów lekkiej muzy“ — dostarcza ich stokroć więcej bogata sfera miast; ale pozostał paradoks tradycji tych pojęć, paradoks na zasadzie którego o udziale mieszkańców wsi w sprawach teatru jeszcze dziś mówi się z lekceważeniem.

Dlatego mieszczuch wysmiewa takich, którzy teatr chcą traktować poważnie. On go traktuje jako zabawkę.

Jest naturalnie i w mieście garść ludzi odnoszących się do teatru w inny sposób. Jedni z nich, to młodzi o wrażliwości jeszcze niestępionej, literaci (najczęściej początkujący) i artyści, których teatr „ciągnie“ jako najefektowniejszy, najwięcej miłość własną zadawalniający sposób wypowiedzenia się. A pali im się w głowach! płoną im w nich różne wizje, zapalają się świetne błyskawice efektów, potoki słów i myśli cisną im się na usta — teatr dla tego wszystkiego może być ujściem. Kochają więc teatr.

Inni znów — to zawodowcy. Krytycy, recenzenci, dziennikarze, aktorzy lub przyjaciele aktorów. Ci rzadko kochają teatr, ale przywarli do niego i gdyby im go odebrać, czuliby się nieszczęśliwymi.

Wszystkich jednak tych ludzi teatr tylko bawi — co najwyżej zajmuje ich jako kwestja, czy częśćka materialnego lub moralnego bytu. O tem, żeby ich czegoś ten teatr uczył — niema mowy.

Uczy on jeszcze massy. Uczy niższe nieprze rafinowane wyskrobkami europejskiej kultury sfery.

A przedewszystkiem — uczy wieś.

Ile razy zdarzyło mi się być w teatrze razem ze znajomymi ze wsi, tyle razy mogłem u nich zaobserwować nieklamane i niepowierzchowne zajęcie. I sztuka grana w teatrze nie kończyła się dla nich z zapuszczeniem po ostatnim akcie kurtyny, nawet wtedy, kiedy wiejski apetyt domagał się o swoje kolacyjne prawa. Ich wrażliwość pęczniała w teatrze jak gąbka i zachowywała na całe życie świeżość wrażeń otrzymanych w ciągu jednego teatralnego wieczoru. Ileż to potem wieczornych, jesienią i zimą przy palącym się w piecu (rzadko już na kominku!) ogniu i melancholijnym szumie samowara wygłaszano o teatrze rozmów! Ilu gorących, po szeregu lat, zachwyków byłem świadkiem — zachwyków nad jednym olśniewającym frazesem jakiegoś autora, lub nad grą jednego z artystów!

Ludzie ze wsi umią dziwnie segregować i konserwować swoje wspomnienia teatralne, umią zachować cały ich wdzięk i świeżość bez względu na czas upływający. W samotnych, gospodarskich, po polach i łąkach przechadzkach, w cichych godzinach wypoczynku przetrawiają je i myślą o nich. Każda z Warszawy nadesłana gazeta budzi te wspominki. Równie skwapliwie czytują recenzję sztuk których nie widzieli, jak politykę. W każdym wiejskim dworze, gdzie panuje jaka taka kultura i jest z życiem umysłowym kraju nawiązany kontakt, założyć się można, że doskonale wiedzą czwartego dnia po premierze w Rozmaitościach, co napisał o niej Rabski, a co Lorentowicz.

I kiedy potem przyjadą do Warszawy i w wieczór wybierają się do teatru zadziwiają nas, mieszkańców miasta, doskonałą pamięcią tych ocen i krytyk, a po przedstawieniu zadziwiają jeszcze więcej dziwnie trafnymi i oryginalnymi uwagami o nich, z własnego już krytycyzmu.

Przodują w tym kierunku nasze wiejskie panie. Umysł mężczyzn więcej może ustępować zmęczeniu po pracy, więcej może są obciążone różnymi sprawami — właśnie przybywając dla nich do miasta, może zresztą wstrzemięźliwi się w wypowiedaniu własnych poglądów, wychodząc z tego założenia, że to nie ich dziedzina. Ale lubią teatr bardzo i równie chętnie idą na dramat czy komedię, jak na farsę lub operetkę. Jest w tem wszystkim zasługa, bo jest wyraźna chęć garnięcia się nietylko już do kultury ale do wyzwolenia ducha, udostępnienia go dla wzniosłych i szlachetnych ideałów — jest kult piękna i świadectwo żywe umiłowania tego piękna.

Naodwrot znow — ileż to materiału dostarczyła wieś dla twórczości naszych teatralnych pisarzy! Jakże bogatą galerję typów utworzyć by można z bohaterów najpopularniejszych u nas utworów, którzy wyszli ze wsi i na tle tej wsi, własnego wiejskiego domu, własnych z roli i o rolę powstałych trosk i radości piórem dramaturga wiernie odrysowani zostali. Fredrowie, ojciec i syn, Narzymski, Bliziński, Ruszkowski, Abrahamowicz, Koziebrodzki, Lubowski, Zalewski, Bałucki, Przybylski, Przybyszewski, Gorczyński, Krzywoszewski czerpali pełną garścią z tej nieprzebranej kopalni i niejednemu ona jeszcze materiału, wątku i wzorów dostarczy!

Bo życie sztuki nie ogranicza się na jednej sferze i nie zna podziału na kasty i warstwy. Wszędzie, gdzie bije gorący puls życia naturalnego, tam zakwita precudny kwiat tęsknoty za ideałem tego życia, wyśnionym na jawie w dźwięku, barwie, kształcie, słowie i pieśni. I wszędzie też ro-

śnie wspólne wszystkim prawo do zaspokojenia tych tęsknot u kastalskich źródeł sztuki, przygarniającej promienistymi skrzydły do swoich stóp, wszystkich co pragną i łakną piękna, co potrzebują fantazji złudzeń, aby żyć mogli i oddychać na zapyłonych gościńcach tak szarej niekiedy i ciężkiej rzeczywistości.

Wieś takie same ma do tej sztuki prawa jak miasto, tak samo ważny jest jej głos w kształtowaniu się i ciągłej ewolucji pojęć społecznych o pięknie, tak samo może i powinna się odnosić do tego ważnego wykładnika życia umysłowego, jakim jest żyjący w mieście teatr.

Dlatego właśnie otwieramy we „Wsi Ilustrowanej“ specjalny dział poświęcony teatrowi, w którym przede wszystkim o twórczej działalności sceny i jej rozwoju informować będziemy czytelników naszych w miesięcznych, sztuce oddanych przeglądach, jednocześnie chętnie bardzo otwierając pole dla wypowiedania się w tych sprawach wszystkim mieszkańcom polskiej wsi.

J. O. S.

Od Wydawnictwa „Wsi Ilustrowanej”.

Zawiadamy niniejszem Szanownych Prenumeratorów i Czytelników, że z dniem 6 Marca b. r. p. Kazimierz Laskowski (El) przestał być redaktorem „Wsi Ilustrowanej“ i odtąd nic wspólnego niema z naszym wydawnictwem.

Jednocześnie prosimy Szanownych Prenumeratorów, Czytelników i Przyjaciół naszych o zwracanie się we wszystkich sprawach wprost do nas, bądź do Redakcji, bądź do Administracji „Wsi Ilustrowanej“ mieszczących się przy ul. Hożej 47, telefon 116-99.

Z powodu wyborów do Władz T. K. Z.

W połowie kwietnia rozpoczął się okres zjazdów stowarzyszonych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Zjazdy te mają na celu konieczne dokonanie co dwa lata wyboru członków Władz Towarzystwa, wysłuchanie sprawozdań z dopełnienia wydanych tymże urzędnikom zleceń, rewizje rachunkowości Dyrekcji Szczegółowych, wreszcie przedstawianie wniosków w przeróżnych sprawach Towarzystwa, co ma świadczyć o stałym interesowaniu się ogółu stowarzyszonych sprawami naszej instytucji ziemiańskiej i o usilnem poszukiwaniu sposobów i środków podźwignięcia przy pomocy Towarzystwa własności ziemskiej w jej trudnem niejednokrotnie położeniu.

Wprawdzie przedstawiciele władz w sprawozdaniach ze swej działalności okazywali się zwykle przeciwnikami wszelkiej jawności, wnioski zaś stowarzyszonych spotykały się zwykle z grzeczną, ale stanowczą odmową, przeto zebrania stowarzyszonych zyskały nazwę „wyborczych“, najlepiej określającą ich cel właściwy.

Były czasy wielkiego zainteresowania się ogółu zebraniem wyborczym.

Na pierwszych wyborach do Dyrekcji Głównej

i Dyrekcji Szczegółowych w 1825/26 roku, na 268 stowarzyszonych stawilo się do urn wyborczych 164, t. j. 61%. W latach następnych procent ten stopniowo się zmniejszał, wynosił wszakże 42—48%. Najliczniej zwykle zjeżdżali na wybory Łomżyńscy, Siedleckie i Lubelskie, najmniej interesowały one ziemian z oddziałów warszawskiego i kaliskiego.

W ostatnim 10-cio leciu udział stowarzyszonych w zebraniach wyborczych wynosi przeciętnie zaledwie 15%. Niepodobna twierdzić, że jest to objaw zupełnego zubożenia ziemian na sprawy własnej instytucji; rozszerzenie środków komunikacji i nieustanna praca w rozwijających się pomyślnie w całym kraju kółkach rolniczych zmieniły zasadniczo warunki konieczności udziału naszego rolnika w zebraniach wyborczych; — dziś jest on w ciągłym stosunku z ogółem ziemian, przypominających sobie z niegasnącym humorem czasy, kiedy to dla załatwienia przeróżnych interesów i omówienia z panami-braćmi wszelkich spraw zawodowych oczekiwano się z niecierpliwością terminu wyborów do władz Towarzystwa Ziemskiego.

Jednakże dzisiejszy stosunek obecnych na zebraniach ziemian nie wskazuje również wielkiego

WSZYSTKIE TE PANIE,

które używają codziennie systematycznie Sanatogenu Bauera, nie odczuwają nerwowych stanów osłabienia, jako to: migreny, bólów głowy, bezsenności i t. p. Stałe używanie bowiem Sanatogenu Bauera chroni od przykrych niedomagań, które pociąga za sobą wyczerpujące nerwy życie towarzyskie i nadaje twarzy wygląd zdrowy, świeży i wesoły.

Wyróżniającą zaletę Sanatogenu Bauera stanowi to, iż może być przyjmowany bez jakichkolwiek zmian w przyzwyczajeniach, zmieszany być może ze wszelkimi potrawami i napojami. Dokładny sposób użycia dołączony jest do każdego pudełka.

Sanatogen Bauera (oryginalny tylko w pudełkach zaopatrzonych w czerwoną banderolę), jest do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych w opakowaniach po 50, 100 i 250 gr. Dokładne wskazówki i odezwy lekarskie zebrane są w broszurkach:



„Comment recouvrir les forces corporelles et intellectuelles”

„Środek wzmacniający i orzeźwiający, zwłaszcza nerwy”

PRACE TE DOSTARCZANE SĄ BEZPŁATNIE PRZEZ

Generalne Przedstawicielstwo SANATOGENU BAUERA w Warszawie, Marszałkowska 129.

zainteresowania się sprawami Towarzystwa, przynajmniej nie w tym stopniu, jak to *in illo tempore* bywało.

W wigilję dnia wyborów grzmiało już w mieście gubernialnem; wszelkimi drogami zwoziły karoce, powozy i bryczki „zwolenników kredytu długoterminowego“, o sumiastych wąsach, opalanej cerze, niesłychanym apetycie i szalonej zdolności do przeklinania na czem świat stoi uradowanych oberżystów, czy właścicieli hoteli prowincjonalnych, którzy na podobną uroczystość przyjmowali zwyczaję współczesnych kamieniczników warszawskich.

Przedwyborcza „herbatka“ u prezesa Dyrekcji Szczegółowej, nazajutrz uroczyste nabożeństwo w miejscowym tumie, przysięga prezesa wyborów, składana na ręce przedstawiciela władz administracyjnych, śniadanko wydawane przez tegoż prezesa mają swoją historję i niezawodnie przejdą do potomności.

A przedewszystkiem — sprawy Towarzystwa.

Ze skupioną uwagą słuchano pp. radców, którym popis publiczny wobec pp. braci oraz przedstawicieli prasy warszawskiej i — chęć ponownego wyboru dodawały elokwencji. I zwykle tak się zdarzało, że owe mowy sprawozdawcze, owe zapewnienia, że wszystko „jest dobrze“, wzmianki o nadzwyczajnych staraniach o rozwój instytucji porywały pp. braci; radca dostał zawsze bravo i jutrzejszy wybór jego nie ulegał prawie wątpliwości.

Były jednak zawsze i chwile pewnego zakłopotania, mianowicie, gdy nadszedł czas odczytywania odpowiedzi na wnioski stowarzyszonych.

Wnioski te mają również własną historję.

Były one zawsze wyrazem ludzkich chęci podniesienia umiłowanej instytucji i ukochanego zawodu, niekiedy proponowały, doniosłego znaczenia zmiany w ustroju Towarzystwa, czasami poruszały kwestje ogólne; rzadko kiedy zdołały zasłużyć sobie na uwzględnienie naczelných władz.

Niewiadomo dlaczego.

Dotyczyły one przedewszystkiem reformy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z celem „dobrobytu rolnictwa i przemysłu krajowego“, od r. 1842 proponowały użycie zaoszczędzonego przez Towarzystwo funduszu na spłatę rat za stowarzyszonych, żądały kredytu „ruchomego“, przez lat 40 z rzędu prosiły o założenie przy Towarzystwie ubezpieczeń od ognia i gradu, utworzenie z kapitałów zapasowych banków rolniczych, kasy zapomóg dla dóbr, nawiedzonych przez klęski, zmiany przepisów egzekucyjnych, podwyższeń płacy Urzędników wybieralnych i mianowanych, ograniczenie kar, przyznawanie ulg dla drobniejszych gospodarstw, niedozwalanie parcelacji bez wiedzy Towarzystwa, nieprzyjmowanie przez radców urzędów w obcych instytucjach finansowych, zwłaszcza w prywatnych ubezpieczeniach, jawności działań Towarzystwa za pośrednictwem pi m publicznych i t. d., i t. d.

Nie wiele z nich weszło w życie! Uznano, że „przeważnie nie opierały się na praktycznej podstawie, możliwie urzeczywistnienie ich ułatwiającej“, nie mogły więc „przynieść skutku“ i pozostały na papierze w całym szeregu życzeń — nie do wykonania.

Minęły szeregi lat, przeciągały nad krajem różne



BIELIZNĘ
DAMSKA
SKROMNA
WYKWINTNA
CAŁKOWITE WY-
PRAWY SŁUBNE

POLECAJĄ
BRACIA **JABŁKOWSCY**
WARSZAWA BRACKA 23
PRÓBY I KATALOGI BEZPŁATNIE

*Magasin
Français
G. Bargoin
Bijoux de Paris
Varsovie
Nowy-Świat 45*

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i Aparatów assenizacyjnych

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie
Biuro w Warszawie
ul. Hr. Berga 2

burze dziejowe, aż znowu przeżywamy chwile ciężkie, brzemienne niepewnością jutra, zatrute jadem zwątpienia.

I znowu, jak dawniej zjawia się pałaca potrzeba ludzi dobrej woli, gorliwych i sumiennych pracowników, znających dokładnie stosunki ekonomiczne kraju i potrzeby ziemian, ludzi niezależnych, odznaczających się wszechstronną odwagą, tak niezbędną w każdej służbie publicznej.

Po za sprawami Towarzystwa leżą sprawy ogólne. Choćby tylko konieczność utrzymania własności ziemskiej i podniesienia dobrobytu rolnictwa!

Względy te wpłynąć winny na większe zainteresowanie się ziemian naszych odbywającymi się obecnie zebraniem i — kierować przy wyborze nowych członków, do władz zasłużonej instytucji.

J. NAŁĘCZ.

O pełną krew.

Pisząc w kwietniowym numerze „Wsi Ilustrowanej“ o pochyleniu się naszej hodowli pełnej krwi i podając w tym kierunku garść skromnych uwag, co do sposobu jej podniesienia, nie przewidywałem jeszcze, że poglądy te zejną się z równocześnie niemal w sprawie tej postawionym programem na posiedzeniu Komitetu Wyścigowego w Petersburgu.

Posiedzenie to zwołał w dniu 21 marca r. b. główny Zarząd Stadnin Państwowych celem naradzenia się nad interpelacją budżetowej komisji Dumy, która w sprawie upadku hodowli pełnej krwi

i odnośnego poparcia jej w budżecie państwowym zażądała wyjaśnień — dlaczego: 1) hodowla koni pełnej krwi nie rozwija się w przeciwieństwie do ogromnego rozwoju hodowli kłusaków; — 2) dlaczego liczba stad nie powiększa się, a poziom klaczy stadnych pełnej krwi upada — i 3) dlaczego Towarzystwa Wyścigowe przy układaniu programów odstąpiły od swego założenia, t. j. wyróżniania tylko najlepszych koni?

Trzy powyższe punkty interpelacji komisji dumskiej są właśnie streszczeniem wszystkiego, co w sprawie obecnego stanu hodowli pełnej krwi pisałem w numerze kwietniowym, a co, zresztą od dłuższego już czasu, brzmiało we wszystkich rozmowach i poglądach na tę kwestję, naszych kompetentnych hodowlanych czynników.

W obradach petersburskich Komitetu, przyjęli udział jako przedstawiciele Towarzystw Wyścigowych: moskiewskiego — pp. W. Zwiegincew i F. Dostojewski; carskosielskiego — pp. A. hr. Nierod, S. Sobin i A. Petryczenko; warszawskiego — viceprezes F. Jurjewicz, St. Wotowski i K. Stolpe; Charkowskiego — p. I. Iljenko; rostowskiego — p. Czerikow, wreszcie z ramienia Zarządu Stadnin pp. P. Pierekrestow i Aleksandrow oraz ks. J. Trubeckoj. Na przewodniczącego powołano z wyboru obecnych vice-prezesa warszawskiego: F. Jurjewicza.

W dyskusji pierwszy głos zabrał p. Zwiegincew i starał się wykazać, że nie jest tak źle, jak komisja dumską myśli, bo konie czołowe u nas zabierają 3,6% wszystkich w ciągu roku rozgrywanych nagród, a w Anglii otrzymują 3,1%, zatem nawet trochę mniej niż u nas.

BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

INŻYNIEROWIE:

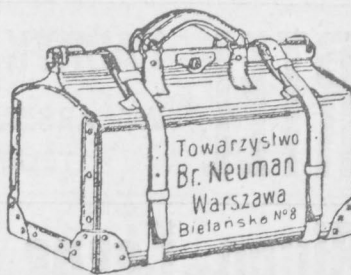
S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERIUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddziały: WILNO, Plac Katedralny № 12 (dom Bogdanowicza), MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”, przedstawiciel inż. IWASZKIEWICZ.

PADEREWSKI, KUBELIK, BATTISTINI,
ANZELMI wykonali cały szereg nowych
utworów do gramofonu.

PŁYTY DO NABYCIA W SKŁADZIE
B. RUDZKIEGO
Marszałkowska 87.



KUFRY podróżne dla dam i panów, KUFRY do kapeluszy damskich i męskich, KUFRY do prób. WALIZY, TORBY, NESESERY, oraz wykwinna galanterja skórzana. Wielka wyprzedaż Damskich torebek najnowszych fasonów w składzie fabrycznym

T-wa BRACI NEUMAN
WARSZAWA, ul. BIELAŃSKA № 8
(róg Daniłowiczowskiej obok nowego gmachu Banku Państw.)

Ale w Anglii, suma nagród rozgrywanych w ciągu roku wynosi dwadzieścia lub więcej razy niż u nas, 3,1% zatem tej sumy jest zupełnie wystarczającą premją dla konia klasy — zwłaszcza, że poza tą pierwszą klasą, liczniejszą daleko niż u nas i od naszej pierwszej wyższą, stoi jeszcze kilka kategorii koni bardzo dobrych.

U nas stosunek ten zupełnie inaczej się przedstawia. Koni pierwszej klasy jest w roku zaledwie parę, a poza nimi stoi nieliczna druga klasa i już koniec. Na tym końcu mieści się już sama hołota torowa, zdecydowane *outsidery*, które wygrywają dzięki fatalnemu systemowi ograniczeń programowych, z powodu których tyle już nauskarzali się hodowcy. U nas, na szczęście, nowa dykcja wyścigowa, z chwilą kiedy objął ją zamiłowany i energiczny hodowca i sportsman p. F. Jurjewicz, zaczyna się z tego systemu wyzwalać. Świadectwem tego, program tegoroczny o wiecie więcej otwarty niż dotychczas.

Wracając jednak do sprawy obrad Komitetu Wyścigowego, cyfra którą tak chwali się pan Zwiegincew, w stosunku do niewielkiej liczby nagród i koni czołowych, a nawet do całokształtu hodowli naszej, jest stanowczo za małą.

Słusznie komisja dumską poruszyła kwestję ogromnego rozwoju hodowli kłusaków. Klaczy tak zwanych rysistych jest w Rosji do 30,000, pełnej krwi zaś doliczyć się można zaledwie do 1200; suma nagród rozgrywanych na torach kłusaczych wyniosła w ostatnim roku wyścigowym 5,000,000 rb. (*sic!*) a suma nagród dla pełnej krwi zaledwie 1,500,000 rb. Różnica więc jest ogromna. Ale hodowla i wyścigi

kłusaków wobec tych olbrzymich dotacji stały się już dziś geszeftem. Publiczność daleko więcej gra tam i zgrywa się, niż na wyścigach pełnej krwi i dlatego hodowla jej cierpi skutkiem rozwoju tego geszeftu.

Tu nie wystarczy już obmyślanie środków zmierzających do poparcia hodowli pełnej krwi — teraz potrzeba już myśleć o sposobach ograniczenia meetingów kłusaczych, zarówno co do czasu ich trwania, jak co do liczby i wysokości rozgrywanych tam nagród!

Tylko główny Zarząd Stadnin może inicjatywę tej akcji podjąć i przeprowadzić ją skutecznie. Jest ona koniecznością i hodowcy zarówno nasi, jak rosyjscy powinni na ten punkt sporny najpilniejszą uwagę zwrócić. Tu nie można już rozumować, że wyścigi kłusackie odbywają się tylko w Rosji, więc nas w Królestwie nic nie obchodzą. Sprawy naszej hodowli uzależnione są od rosyjskiej i rosyjskich stosunków bardzo ściśle, a przedewszystkiem chodzi tu o odciążanie nakładów pieniężnych z tego terenu geszeftarskiego na pole rozwoju pełnej krwi.

Komitet wyścigowy w odpowiedzi na interpelację, postawił program ułożony przez p. Zwiegincewa w następującej redakcji: 1) kupować zagranicą, głównie w Anglii reproductory wysokiej klasy i na ten cel wyjednać fundusz przynajmniej 1,300,000 rb.; — 2) Towarzystwa Wyścigowe powinny zagranicą nabywać matki stadne dobrej krwi i odstępować je po przystępnych cenach hodowcom krajowym; — 3) rozmieszczać odpowiednio sprowadzone z zagranicy reproductory, nie w Derkulu oddalonym od rejonów hodowlanych i kolei, lecz

POLSKIE BIURO ROLNICZO-LEŚNE

Nowogrodzka 46.

Przeprowadza transakcje kupna, sprzedaży majątków, dzierżaw, lasów, domów, placów, will, lokuje kapitały. Poleca zwłaszcza majątki spekulacyjne — leśne, 100--300% zarobku zapewnionego, 1,000—do 60,000 dziesięcin, zaliczka od 20,000 rubli. Doskonałe interesy dla kapitalistów!!!

Piwo Waldszleschen

Znako-
mite

PIWO i PORTER

z browarów
Tow. Akc.

WALDSZLESCHEN w Rydze

poleca

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE
WARSZAWA—PRAGA, ul. Strzelecka № 25. Telefon № 33.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzist. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żorawia 22, tel. 90-90.

Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNY I ZANDEROWSKI

D-rów W. ŁAPIŃSKIEGO i W. REKLEWSKIEGO

ALEJA JEROZOLIMSKA № 65, Telefon № 20-22.

Choroby kręgosłupa (skrzywienia, garby) stawów, kości, mięśni, nerwów, przemiany materji (artretyzm i t.p.). Mechanoterapia (przyrządy motorowe), gimnastyka lecznicza, przyrządy do leczenia elektryczno-sświetlnego i gorącym powietrzem.

w Moskwie, Janowie, Charkowie i Rostowie nad Donem.

Z punktów powyższych najważniejszym wydaje mi się drugi. Sprowadzanie do kraju dobrych matek jest w tej chwili koniecznością, jak to poprzednio o tej sprawie pisząc już zaznaczyłem.

Pan St. Wotowski, redaktor „Jeźdźca i Myśliwego“ podniósł też ważną na posiedzeniu tem okoliczność, wyboru odpowiednich ogierów do hodowli pół-krwi, przy bardzo ścisłym i szczegółowym ocenianiu wpływu tych reproduktorów na rozwój szlachetnych prądów krwi, przy kopulacji z materiałem już uszlachetnionym.

Jest to istotnie sprawa pierwszorzędnej wagi, — P. Wotowski, który oddawna już należy u nas do najgorliwszych i najczynniejszych protektorów hodowli półkrwi, upatrując w niej słusznie przyszły materiał rozwojowy dla krwi pełnej i poważne źródło dochodów dla licznej a średnio zamożnej klasy hodowców, oraz sposób ogólnego podniesienia poziomu hodowlanego u nas, bardzo na czasie zwrócił na nią uwagę.

LOM.

**DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka**
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

W-nej Zofji Korsak w Skowrodkach. Przystane nam wraz z listem zdjęcia ze sportów zimowych muszą poczekać do przyszłej zimy, niepodobna nam bowiem umieszczać ich letnią porą w wydawnictwie aktualnym pod względem ilustracji. Za pamięć serdecznie dziękujemy.

W-ny Stefan Okulicz w Wilnie. Artykuły o które Szanowny Pan pyta, wraz z ilustracjami w jednym z najbliższych zeszytów zamieścimy.

W-nej P. Oldze Karskiej w Łuce Małej (Galicja). Opóźnienie nie z naszej nastąpiło winy, nagromadziło się bowiem dużo aktualnych rzeczy które trzeba było wpiერ zamieścić. Postaramy się wkrótce z nadesłanego nam łaskawie materiału skorzystać i polecamy się dalszym łaskawym względem Szanownej Pani.

JW-ny hr. Gabriel Prószyński. Z nadesłanego nam materiału skorzystać dziś nie możemy już wobec ogromnego wyczerpania tego tematu przez całą prasę polską. Odbitki fotograficzne ciekawe, szkoda jednak że tak blade iż reprodukcować ich nie można. Polecamy się najuprzejmiej łaskawym względem Szanownego Pana na przyszłość.

JW-ny. Józef hr. Potocki w Bendlewie (ks. Poznańskie). Nadesłane w ciągu zimy b. r. trzy fotografie użytkujemy w bieżącym sezonie, wcześniej bowiem niepodobna było ich zamieścić, ze względu na letni ton staffage'u. Za pamięć dziękujemy uprzejmie.

W-ny I. Z. w Skazińcach. Najuprzejmiej prosimy o przysłanie, z zaznaczeniem jeśli coś będzie do zwrotu.

JW-ni PP. Wł. G....wie, w Szatkowicach. Numer kwietniowy wysłany. Co do mieszkania — polecamy znany w sferach ziemiańskich pensjonat W-nej M. Przybylskiej, (ul. Widok № 12); kuchnia dobra, ceny przystępne, fortepian, telefon, wanna.

Z dziedziny kosmetyki i higieny. ODPOWIEDZI I RADY.

K. M. Z. J. A. Z. Przy cerze delikatnej najodpowiedniejsze są do mycia zamiast mydła Otrąbki Vesta. Z mydeł najlepsze są mydła lwowskiej fabryki „Tlen“.

Ciekawej. Tak jest, Autowibrator dra Johansena zmarszczki rozprowadzi; przed masażem lekko nasmarować twarz kremem Radium. Myć się otrąbkami Vesta z wodą różaną radioaktywną. Manicure zrobią Sz. Pani w Kalotechnice, Marszałkowska 116. Tam też są udzielane porady lekarskie codziennie od 4—6.

Lili Z. Kurzajki z rąk usunie lekarz w Kalotechnice elektrycznością. Myć włosy najhygieniczniej mydłem płynnym Antrasolowem, które niszczy łupież, oraz nacierać skórę na głowie Radiolem, a włosy szybciej rosnąć będą. Przeciw zbytnej otyłości polecam Herbatę dra Daloffa oraz pigułki Oxylene. Są to środki nieszkodliwe dla zdrowia, a skuteczne.

Steni M. Żali się Sz. Pani na wągry — a przecież rzecz tę da się tak łatwo usunąć — uskutecznią to w Kalotechnice, następnie systematycznie wycierać się płynem Vesta i myć się perełkami alkalicznymi, a wągry i krosty już się nie odnowią. Ręce udelikatniać rękawiczki kosmetyczne. Zęby znakomicie konserwuje Elixir radioaktywny; wzmacnia dziąsła i usuwa przykry zapach z ust.

TREŚĆ Nr 5.

Dzielny Obywatel. — Maj idzie, przez J. Relidzyńskiego. — Noc taka cicha, przez Zofję Ułaszynówną. — Jest siła, przez J. Ostoję. — Maj i jego uroczystości, przez Leszczyca. — U wiejskiego dygnitarza, obrazek przez Pobratymca. — W noc cichą, przez Tadeusza Jaworskiego. — Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Jak Jasiak z Ustupu, Hanusia od Królów i Marta Uherczykówna z Liptowa — śpiew li w jedno słoneczne rano ku sobie. — Na ciągach! — Wystawa architektoniczna w Krakowie. — Jakimówka, przez Z. R. — Z Sieradza ku Kaliszowi, przez Kazimierza Walewskiego. — Melodje nocy majowych, przez Władysława Zalewskiego. — Druskieniki, przez S. K. — Z cyklu: Kobiety Napoleona I (Eugenja Clary), przez Werę Skórkowską. — Jak kwiaty, przez Alinę. — Moda, przez Marcèle — Karczownik hydrauliczny „Australja“. — Wieś i Teatr, przez J. O. S. — Od Wydawnictwa „Wsi Ilustrowanej“. — Z Powodu wyborów do Władz T. K. Z., przez J. Nałęcza — O pełną krew, przez Łom'a — Odpowiedzi Redakcji. — Z dziedziny kosmetyki i higieny. — Jęczmień browarny, przez Ch. — Ogłoszenia.

POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 16/18. Adres telegraficzny „ALGEM”.

WŁASNE FABRYKI W RYDZE.

Wszelkie instalacje Elektryczne. Wielkie Składy materiałów elektrycznych.

Jęczmień browarny.

Browarnicy twierdzą, że dobry jęczmień powinien posiadać następujące przymioty: nasienie okrągłe o cienkiej łupce, jednostajnej wielkości i koloru słomiano-żółtego, w przełomie mączne, oznaczające słabą zawartość materji azotowych. Kupują chętnie za wyższą cenę jęczmień posiadający te przymioty. Główny zbytna jęczmień browarny jest na rynkach niemieckich i austriackich, gdzie najlepiej płatne są dotąd odmiany francuskie oryginalne, albo reprodukowane na Morawach.

Liczne próby urządzone w Alzacji, oraz przez stacje doświadczalne w Lyonie i Saint-Remy we Francji wykazały, że celem uzyskania gruboziarnistego jęczmienia browarnego, odpowiadającego wymaganiom na rynkach zagranicznych, należy mieć na uwadze następujące warunki:

1. Na uprawę jęczmienia należy poświęcić grunt niewyjałowiony, przygotowany jak pod buraki, to znaczy dobrze uprawiony. Po burakach lub ziemniakach, jęczmień udaje się wysmienicie. Nie należy go uprawiać ani bezpośrednio na nawozie, a skoro

inaczej nie można, uważać, by takowy był już w stanie zupełnego rozkładu, ziemię zaś należy dobrze uprawić w jesieni i nawóz wówczas już przyorać.

2. Siał na wiosnę możliwie wcześniej.
3. Siew winien być raczej rzadki niż gęsty, po 2 do 2½ hektolitra na hektar gruntu, w rzędach odległych o 10 do 13 centymetrów.

4. Ziemię należy nawozić wiosną — mierną ilością salety: 6 pudów najwyżej w dobrej glebie.

5. Baczną uwagę zwracać należy, by przy zbiorze nasienie nie było mokrem, gdyż w takim razie nabrałoby ono ciemnego koloru.

6. Przy omłocie jęczmienia maszyną, nie powinny się cepy obracać zbyt szybko; jęczmień należy młócić ostrożniej niż owies lub pszenicę, dlatego należy utwierdzić cepy przez odpowiednie ustawienie młocka z dzierżakiem; w przeciwnym razie nietylko wiele źdźbeł ucieka, ale, co główniejsze, nasienie się miazdzy, a w następstwie potem naturalnie źle kiełkuje.

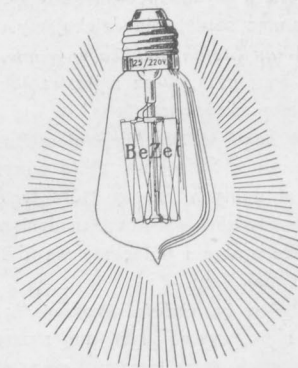
7. Omłot należy starannie oczyścić i rozsortować, w celu uzyskania nasion jednolitej grubości.

Gruboziarniste odmiany jęczmienia mają olbrzymi popyt na rynkach europejskich do wyrobu tak zwanej „kneipowskiej kawy“, a płacą je chętnie o 50 procent drożej od towaru browarowego. Jedną z najlepszych odmian na cele browarniane i do wyrobu kawy słodowej, jest francuska odmiana „Orge d'hiver a six rangs“ (Jęczmień zimowy sześciorzędny), którego rysunek naturalnej wielkości właśnie zamieszczamy. Uważają ją za najlepszą zimową odmianę.

CH.



Jęczmień zimowy sześciorzędny.



BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH
WACŁAW BRYGIEWICZ, MICHAŁ ZUCKER i S-ka
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 119. (TEL. 37-40).
ADRES TELEGR.: „BEZET”

INSTALACJE, OŚWIETLENIE, MOTORY.
ZASTOSOWANIE ELEKTRYCZNOŚCI W ROLNICTWIE.
DOSTAWA ARTYKUŁÓW ELEKTROTECHNICZNYCH.